

Dziś w numerze: ● Jak zginął „Che” ● Naurócenie beatelsów ● Test na miłość Miciński egzystencjalny ● Bóstwa ekranu o sobie ● Tajemnica pustelnika Recenzje ● Felietony

kontrola periodyków  
z Rejonowej Bibliotek Publirzecz  
Łódź - Widzew

# odgłosy



2 (539)  
14. I. 1968 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

ZOFIA LIBISZOWSKA

## Śladami polskich scholarów

Jesteśmy w Bolonii, mieście najstarszego uniwersytetu i najdawniejszych peregrynacji spragnionych wiedzy i ciekawych świata scholarów polskich. Według ustaleń badaczy zdobywał tu tytuł magistra kronikarz Wincenty Kadłubek, studiowali tu jeszcze w XIII w. Jacek i Czesław Odrowążowie. Innych znamy tylko z imienia i adnotacji, iż przybyli z Polski. Czas zatarł ślad tych najdawniejszych odwiedzin. Liczba ich wzrastała stale w okresie renesansu. Wtedy jednak sławę Bolonii zaćmiła Padwa, w której murach przez cały wiek XVI rolę się wprost od Polaków.

Do pięknych, wiekowych włosko-polskich tradycji kulturalnych doszły ostatnio, pisane krwią, karty II wojny światowej. W zaciętych walkach o Bolonię w kwietniu 1945 r. udział wzięli żołnierze trzeciej brygady Strzelców Karpaczkich. Odznaczyli się oni brawurą i pogardą śmierci. Dziś śpią snem wiecznym na specjalnym żołnierskim cmentarzu, cmentarzu-pomniku wdzięczności i hołdu dla polskiego czynu zbrojnego.

W tutejszym społeczeństwie pamięć o nich pozostała żywa. Toteż przybył z Polski witany jest tu szczególnie życzliwie i gorąco. Dowiaduje się, że w wyniku długotrwałych walk Bolonia została poważnie zniszczona. Przyjmując to z niedowierzaniem. Miasto jest bowiem całkowicie odbudowane i rosną się dynamicznie. Powstają nowe arterie i świeżutkie bloki. Osiąg-

Dalszy ciąg na str. 5



Mikko Savolainen. Birgitta.

## Architektura — interes społeczny

Koszarowa szarość zapanowała w nowych osiedlach. Nieciekawe są też pojedyncze budynki. Łódź była miastem szarym, o ulicach podobnych jedna do drugiej, urozmaiconych przez nieliczne fabrykanckie pałace. Teraz — mimo wielkiego rozmachu budownictwa mieszkaniowego — miasto nabralo wprawdzie kolorów, ale poszczególne osiedla nie różnią się zbytnio od siebie.

Jest to niewątpliwie wynik niewłaściwie pojętego uprzemysłowienia, ale czy architekci i urbanisci nie są w stanie już nie zrobić, aby osiedlom nadać różny charakter? Jaka jest przyszłość architektury i urbanistyki w Łodzi? Gdzie tkwią przyczyny zła? Oto pytania, jakie m. in. postawiliśmy kilku architektom w dyskusji zorganizowanej w redakcji „Odgłosów”.

W dyskusji tej uczestniczyli: ZDZISŁAW LIPSKI — współautor projektu nowego centrum w Bydgoszczy, JAN MICHAŁEWICZ — współautor projektu Domu Związków Zawodowych w Łodzi i łódzkiego hotelu, HENRYK RODZIEWICZ — współautor planu przestrzennego Piotrkowa Trybunalskiego, laureat nagród Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, STANISŁAW ŻALOBNY — współautor ogólnego

planu miasta Pińczowa i laureat wyróżnienia pierwszego stopnia Towarzystwa Urbanistów Polskich.

\* \* \*

**ODGŁOSY:** — Niedawno „Życie Warszawy” opublikowało wiadomość, że tradycyjny konkurs „Mister Warszawy” odbędzie się po raz dziesiąty i że na konkurs ten wpłynęło przeszło 30 zgłoszeń. Przypominamy ten fakt dlatego, że niedawno, szukając laureatów ostatniego konkursu „Dziennika Łódzkiego” na „Złotą Kielnię” stwierdziłismy, że konkursu nikt już nie organizuje od... dwóch lat. Powodem jest to, że nie ma co nagradzać. Smutne to, ale prawdziwe.

Dlaczego tak się dzieje, że architekci z Łodzi wygrywają ogólnopolskie konkursy, projektują budynki i dzielnice w innych miastach, a tu, na miejscu — trudno mówić o jakichś większych sukcesach, trudno mówić o budynkach, które wywoływałyby dyskusje i zachwyty? W zasadzie wszyscy zgodni są, że „Magda”, „Domus”, „Balaton”, a w pewnym sensie i „Uniwersal” to nieporozumienia, że w tych miejscach nie takich budynków oczekiwano. Dokąd więc zmierza „łódzka architektura” i jakie napotyka na swojej drodze przeszkody? Pytanie to zadaje sobie wiele osób, bowiem wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to co buduje się dziś, buduje się nie tylko na dziś!

**H. RODZIEWICZ:** — Nie zapominajmy nigdy, a szczególnie w czasie dyskusji o architekturze w Łodzi, że wszystko co tu powstaje, powstaje w określonych warunkach. Po pierwsze — są to warunki historyczne — pozostałość okresu międzywojennego i jeszcze wcześniejsze. Nie jest to ani ładne, ani ciekawe. Po drugie — warunki geofizyczne. Dużo łatwiej jest projektować w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, czy Wrocławiu, gdzie ma się urozmaicone ukształtowanie terenu, rzekę, a także inaczej ukształtowane miasto przez historię.

Nowa Łódź powstaje na obrzeżach. Moż-

na właściwie być wdzięcznym historii, że po drugiej wojnie światowej miasto wyszło z całym śródmieściem, że tego śródmieścia nie zeszcpeciono jakimś lokalnym MDM, że właściwie wszystko w śródmieściu jest jeszcze do zrobienia. Inaczej przedstawia się sprawa dzielnic na przedmieściach.

Dla rozwiązania problemu mieszkaniowego wybrano jedynie słuszną i racjonalną metodę — budownictwo uprzemysłowione. Zastrzeżenia zgłaszane zarówno przez społeczeństwo jak i architektów, dotyczą ilości i jakości przyjętych typów. W porównaniu z innymi ośrodkami w Łodzi występuje najniższy procent rozwiązań indywidualnych. Najwięcej wznosi się budynków typowych — LSM i „Dąbrowa”. Stąd szablonowość i jednostajność.

Co leży u podstaw tego zjawiska? Odpowiedź jest prosta — dążenie do osiągnięcia najniższych kosztów, najniższych wskaźników. Zapomina się, a czasem celowo pominąć wszelkie nakłady na elementy, które mogłyby urozmaicić, ożywić budynek — osiedle.

**Z. LIPSKI:** — We Wrocławiu również buduje się metodą uprzemysłowioną, bo rzeczywiście w drugiej połowie XX wieku budować inaczej już niepodobna, ale we Wrocławiu — poza tym, że wykonawstwo jest dużo solidniejsze — stosuje się prefabrykaty z trwałą fakturą. Po dwóch latach budynek nie traci koloru. Rzecz więc nie w tym, że budownictwo uprzemysłowione ogranicza możliwości.

W ZSRR i NRD kupimy „fabryki domów”. W związku z tym, rozpisaliśmy konkurs ogólnopolski na projekty budynków wielkopłytowych, które budowano by po uruchomieniu importowanych wytwórni. W konkursie uczestniczyło 20 zespołów i dało to w rezultacie szereg ciekawych prac. Jedne z nich poszły w kierunku stworzenia takiego systemu prefabrykacji, który warunkowałby budowanie różnych domów z tych samych elementów. Drugi — oparł się na sekcji — zestawie kilku mieszkań, z których można komponować poszczególne bu-

dynki. Ten system jest łatwiejszy dla wykonawcy i mimo że przedstawiciele SARP pozytywnie ocenili pierwszy kierunek poszukiwań, to Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych wytykało do realizacji budynki oparte na sekcji mieszkaniowej, które nie dają możliwości stworzenia różnorodnych form architektonicznych i układów.

**ODGŁOSY:** — Trzeba sobie zdawać sprawę z dwu rzeczy. Jedną — to jak projektować, aby w przyszłości uniknąć popełnianych już błędów i tu chyba z pomocą przyjdzie kompletowany ponownie wojewódzki i miasta Łodzi zestaw projektów typowych. Druga — jak uratować dzielnice już istniejące. Wiele się mówi o tzw. małej architekturze. Postuluje się ustawianie elementów dekoracyjnych, buduje się pawilony, a komitety FJN inicjują w czynach społecznych zazielenie nowych osiedli. Wszystko to jednak ogranicza się do postulatów, nawoływań i jeżeli w jednym osiedlu wyrosną setki ładnych róż, to nie ma tu pawilonów handlowych, w innym odwrotnie. Jednym słowem — nie ma działania kompleksowego, a przecież w momencie projektowania osie dla brano pod uwagę wszystkie elementy.

**J. MICHAŁEWICZ:** — Wynika to z tego, że koordynacja inwestycji zajmują się Wojewódzka i Miejska KPG, zarządy inwestycji miejskich i wydziały budownictwa, urbanistyki i architektury. Trudno zatem doprowadzić do większej i rzeczywistej koordynacji.

**H. RODZIEWICZ:** — O walorach przestrzennych i estetycznych osiedla decyduje urbanistyka oraz ilość i jakość stosowanych typów projektów, a więc architektura budynków i ich wykonanie. Decyduje również zagospodarowanie terenu osiedla oraz utrzymanie tego, co tam się znajduje. Przykła-

Dalszy ciąg na str. 3

Można powiedzieć, że pierwsze dni roku mijają pod znakiem licznych wizyt dyplomatycznych. Rozesłał trzech wysłanników Johnson, aby wyjaśnić swe drastyczne decyzje w sprawie poprawienia bilansu płatniczego, a praktycznie podjęte dla obrony zagrożonej pozycji dolara, składa przyspieszoną wizytę w Waszyngtonie izraelski premier Eshkol, zapowiedziano podróżę do Moskwy premiera Wilsona i francuskiego ministra gospodarki i finansów — Debre, w uroczystościach ósmego rocznicy rozpoczęcia budowy tamy asuańskiej w ZRA weźmie udział delegacja radziecka z pierwszym zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów — K. Mazurowem... Od pierwszych dni roku można przeto odnotować wysoką aktywność dyplomatyczną. Najczęściej jej powodem są zapalne ogniska w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie. Zanim jednak przejdę do tych stale powtarzających się tematów, kilka słów o decyzjach Johnsona.

Przypomnę, że dotychczas one ograniczenia eksportu kapitałów za granicę, środków na turystykę, pożyczek udzielanych przez banki amerykańskie oraz zwiększenia udziału krajów, na terytorium których stacjonują amerykańskie wojska, w kosztach ich utrzymania.

Fakt, że te — jak świadczą reakcje prasy różnych krajów zachodnich — niezbyt popularne decyzje podjęte zostały w roku wyborów prezydenckich mówi o zachowaniu równowagi finansowo-gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Oczywiście pierwszym i zasadniczym powodem tego jest wojna wietnamska, która rocznie pochłania ponad 24 mld dolarów.

Gospodarka amerykańska — wbrew licznym przechwałkom Johnsona u progu jego kandydatury — odczuwa te wydatki coraz dotkliwiej. Obecna administracja nie szuka jednak rozwiązań na drodze wycofania się z wietnamskiej interwencji, lecz ograniczeń finansowych. Czy zdolają one utrzymać dotychczasową pozycję dolara — wykaże czas. Dziś w każdym razie coraz głośniejszy mówi się już o tym, że dni pokrycia dolara w złocie są policzone.

A teraz powróćmy do Wietnamu i Bliskiego Wschodu.

Krzywa strat amerykańskich w walkach wietnamskich wzrasta z każdym dniem. Brawurowe akcje partyzantów południowowietnamskich na bazie USA, w których udało się zniszczyć wiele samolotów oraz skuteczną obronę przeciwlotniczą terytorium DRW powodują, że lista strat w sprzeczności wydłuża się szybko. Towarzyszy temu eliminowanie z walk coraz większej liczby żołnierzy amerykańskich. Według informacji WAI, tylko w ub. roku Amerykanie i ich satelici (nie licząc wojsk sajsjońskich) ponieśli straty w zabitych, rannych i wziętych do niewoli w liczbie 170 tys. żołnierzy. Nigdy jeszcze rozmiary ofiar nie były tak wysokie. W tej sytuacji trzeba być niepoprawnym fantastą, aby sądzić — jak czyni to Waszyngton — że wojnę wietnamską można wygrać.

Uwagę prasy zachodniej zwróciła ostatnio wypowiedź wicepremiera i ministra spraw zagranicznych DRW, który raz jeszcze powtórzył, że definitywne zaniechanie bombardowań terytorium Wietnamu północnego mogłoby zarysować perspektywę pokojowych rozmów. Na tę wypowiedź oficjalnie zareagował Rusk, zbywając jednak pytających dziennikarzy ogólnikami w rodzaju: musimy zbadać, wyjaśnić, nie wiemy, co się kryje za tymi słowami itp. A więc jeszcze jeden unik ze strony Waszyngtonu, jeszcze jeden przejaw złej woli.

Z konferencji prasowej sekretarza stanu można wysnuć wnioski, że USA niezależnie od kroków podejmowanych przez kogokolwiek nie przewidują obecnie działań wojennych, licząc że ich sytuacja militarna poprawi się w okresie wiosny i lata. Ewentualnie zmuszone do akcji dyplomatycznej stawiać będą warunki nie do przyjęcia przez DRW i Front Wyzwolenia Narodowego. Równocześnie najprawdopodobniej będą próbowały, jak czynią to zazwyczaj, zrzucić odpowiedzialność za brak postępu na przeciwną stronę.

Z wydarzeń bliskowschodnich zwraca uwagę przede wszystkim podróż do Ameryki premiera Eshkola. Nie ujawniono szczegółów rozmów i należy wątpić, czy to nastąpi. Wiadomo jednak, że Eshkol zabiegał nie tylko o polityczne poparcie Waszyngtonu dla jego polityki, lecz również o dostawę amerykańskiego uzbrojenia, a zwłaszcza samoloty, które miałyby zastąpić bombowce i myśliwce francuskie.

Z najbliższych posunięć politycznych Izraela będzie można wnioskować, jak dalece USA popartą stanowisko Izraela.

Równocześnie zapowiadany na 17 stycznia „szczyt arabski” został odroczony. Dojdzie do niego z pewnością w terminie późniejszym. Znosi się na to, że Syria nie weźmie udziału w projektowanej konferencji. Arabia Saudyjska domaga się natomiast, aby spotkanie szefów rządów poprzedziła narada przedstawicieli państw arabskich bezpośrednio graniczących z Izraelem. Czy wniosek zostanie poparty — nie wiadomo.

Trzeba wreszcie powiedzieć i o tym, że ZRA chce w najbliższym czasie podjąć kroki, zmierzające do odblokowania uwięzionych od ponad 6 miesięcy statków w Kanale Sueskim. Wspomina o tym dlatego, że jest to pewnego rodzaju batalia polityczna. Izrael, rosząc prawa do żeglugi na Kanale, uważa bowiem, że powinny w tym wziąć udział również jego jednostki. Egipt taką propozycję ze zrozumiałych względów odrzuca.

„Być może — powiedział przed krótko dniami rzecznik rządu ZRA — że Izrael otworzy oczy, kiedy rozpocznie się operacja uwolnienia statków, jednakże Egipt ma zamiar plany swe zrealizować”.

Sprawa ta była podobno przedmiotem rozmów Eshkola z U Thantem.

W. SŁAWSKI

■ Premier Kambodży Son Sann przyjął przekazany przez Chiny sprzęt wojskowy, obejmujący m. in. samoloty Mig-17. „Istotna pomoc wojskowa udzielona nam przez naszego przyjaciela Chiny — stwierdził premier — odgrywa ważną rolę w obecnej sytuacji. Jesteśmy świadkami wciąż wzrastającego niebezpieczeństwa dla naszej niepodległości, w postaci grożącej interwencji amerykańskiej. Nie jest rzeczą niemożliwą, że w ciągu najbliższych tygodni, czy miesięcy będziemy musieli zmobilizować wszystkie swe siły, by stawić opór agresorowi”.

■ Obróty handlu zagranicznego CSRS w 1967 roku wzrosły o około 5 miliardów koron w stosunku do roku poprzedniego. 70 proc. obrotów handlowych przypada na kra-

iny w historii ZSRR, jeśli chodzi o wzrost stopy życiowej.

■ Dziennik watykański „Osservatore Romano” zaprzecza w artykule redakcyjnym informację prasową, według której w czasie ostatniego spotkania doszło do istotnej różnicy zdań między papieżem a prezydentem USA — Johnsonem na temat Wietnamu.

■ Belgradzkie czasopismo „Komunist” zapowiada zwołanie w połowie stycznia br. spotkania konsultacyjnego sił postępowych z rejonu Morza Śródziemnego. Celem tego spotkania ma być przygotowanie wspólnej akcji pomyślanej jako działanie na rzecz przekształcenia obszaru Morza Śródziemnego w strefę bezpieczeństwa, postępu i pokojowej



Grecja (Sonntag)

je socjalistyczne, z czego prawie połowa na Związek Radziecki. Handel z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi stanowi 20 proc., zaś z krajami rozwijającymi się — 10 proc. całości obrotów.

■ W Jerozolimie obradowała konferencja poświęcona umocnieniu więzów pomiędzy światowym żydostwem a Izraelem. Wzięli w niej udział setki delegatów z całego świata, a wśród nich wybitne osobistości ruchu syjonistycznego i judaistycznego. Celem konferencji była wymiana poglądów oraz umocnienie więzi grup żydowskich w różnych krajach z Izraelem, a przede wszystkim nasilenie emigracji żydowskiej do Izraela.

■ Organ Komunistycznej Partii Kuby „Granma” pisze, że rok 1968 będzie obfitował w bardziej zaciekle, niż dotychczas walki przeciwko imperialistom na trzech kontynentach.

■ Odpiływ złota ze Stanów Zjednoczonych był w roku 1967 znacznie większy, aniżeli w roku 1966; wyniósł bowiem 1.175 mln dolarów.

■ Profesor René Dumont, znany specjalista francuski od zagadnień rolniczych, przepowiedział, że rodzaj ludzki stanie przed najgorszym w historii ludzkości głodem w 1980 roku. W 1959 roku Dumont przepowiedział kleskę głodu w Indiach w latach 1966—1967.

■ Przewodniczący Gosplanu ZSRR — Mikołaj Bajbakow, poinformował przedstawicieli prasy, że stopa życiowa w Związku Radzieckim wzrasta szybciej, niż przewidywały wytyczne XXIII Zjazdu KPZR. W ciągu dwóch lat planu 5-letniego przeciętny, roczny przyrost realnych dochodów ludności wynosił 5,9 proc., nie zaś 5,3 proc. — jak projektowano. Nowy rok będzie rekor-

dem współpracy. Reuter informuje, że do Belgradu zjadą najprawdopodobniej przedstawiciele partii BAAS z Syrii, FWN z Algierii, Socjalistycznego Związku Arabskiego z ZRA. Włoskiej Partii Komunistycznej oraz reprezentanci innych organizacji.

■ „News Statesman”: „Miliony ludzi w Afryce i Ameryce Łacińskiej miały w cza-

napiętych dniach maja i czerwca 1967 roku swą jedność z Izraelem...” Zdaniem Eshkola również cały naród amerykański święcił triumf Izraela, „widział on bowiem w zwycięstwie Izraela umocnienie pozycji amerykańskiej w tak żywotnej dla świata strefie”.

■ AFP: „Ogłoszone przez prezydenta Johnsona kroki w sprawie uzdrowienia dolara pograżyły w żalobie przemysł turystyczny w całym świecie”.

■ Przewodniczący zrzeszenia przemysłu przetwórczego USA określił zapowiedziane przez Johnsona ograniczenia w wstępiej amerykańskich za granicę jako „rozwiązanie przejściowe”, które jednak sytuację USA w dziedzinie bilansu płatniczego może na długo gwałtem tylko pogorszyć.

■ Obserwatorzy polityczni w Algierii zwracają uwagę na fakt, iż Czombe złożył w swoim czasie przed sądem algierskim obciążające CIA oświadczenia, obarczając tę organizację wywiadowczą odpowiedzialnością za jego porwanie. „Padłem ofiarą CIA... Jestem tutaj dlatego, że trzykrotnie zostałem przyjęty przez gen. de Gaulle’a” — miał stwierdzić Czombe.

■ Agencje podają, że grupa prochińskich komunistów — wychodźców z FPK poinformowała o stworzeniu nowej, własnej partii. Dziennik „L’Humanité” stwierdza, że: „Francuska Marksistowsko-Leninowska Partia Komunistyczna” jest nową przybudówką maolistowska, mianującą się partią, która liczy mniej niż 500 członków w całej Francji”.

■ Rząd sajsjoński cofnął w tym tygodniu amerykański magazyn „Newsweek”. Redaktor naczelny tego pisma oświadczył, iż decyduje się na „jest nieprawdopodobnym afrontem”.

■ W pierwszej połowie 1968 roku wprowadzony zostanie w Bułgarii tytułem próby, pięciodniowy tydzień pracy we wszystkich zakładach okręgów Gabrowo i Stara Zagora oraz w 80 wybranych instytucjach i fabrykach różnych branż w pozostałych okręgach Bułgarii. Natomiast w latach 1969—1970 pięciodniowy tydzień pracy wprowadzony będzie stopniowo w całej gospodarce z wyjątkiem służby zdrowia, oświaty i rolnictwa.

■ Stany Zjednoczone sprzeciwiły się propozycjom niektó-

rych krajów zachodnich w sprawie eksportu komputerów do krajów Europy Wschodniej.

■ AFP: „Maolizm dokonał szybkich postępów w krajach Ameryki Łacińskiej, a partie i organizacje marksistowsko-leninowskie typu maolowskiego powstały w ponad 10 krajach latyno-amerykańskich”.

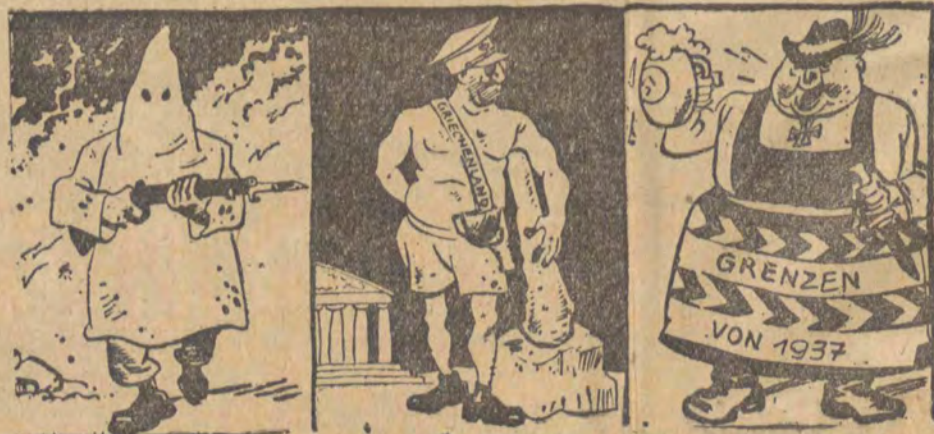
■ Szef sztabu armii izraelskiej gen. Haim Bar Lev w wywiadzie dla pisma „Jerusalem Post” stwierdził, że konflikt z Arabami „nie będzie rozwiązany bez nowej wojny. Trzy razy zwyciężaliśmy i zwyciężymy po raz czwarty” — oświadczył butnie izraelski generał. Inny minister w rządzie Izraela — Igal Allon uważa za „konieczne ogłoszenie, że rzeka Jordan stanowi granicę Izraela, zarówno ze względów politycznych, jak i bezpieczeństwa”.

■ Moskiewska „Prawda” zwraca uwagę na nową falę roszczeń terytorialnych wobec ZSRR podnoszonych przez niektórych polityków japońskich. „Kolejna rezydowa „terytorialnej choroby” u niektórych polityków japońskich nie jest zjawiskiem przypadkowym. Rząd japoński coraz bardziej angażuje się bowiem po stronie USA w wojnie wietnamskiej, dostarczając Amerykanom terenów dla baz wojskowych”.

■ „Sinhua”: „Pierwsza tego rodzaju w historii ludzkości chińska, proletariacka rewolucja kulturalna pod kierownictwem Mao Tse-tunga odniosła w roku ubiegłym decydujące zwycięstwo. W myśl jednak ostatnich instrukcji przewodzącego, walka o całkowite zwycięstwo rewolucji kulturalnej dopiero się zaczęła”.

■ W końcu grudnia ub. roku minister spraw zagranicznych NRF — Willi Brandt przyjął czterech publicystów radzieckich. Jak informuje Agencja DPA, Brandt poparł w rozmowie z radzieckimi publicystami ideę współpracy technologicznej między NRF i ZSRR.

**Moda a'la NATO**



w USA

w Grecji

w NRF

nie tegorocznych świąt mniej do jedzenia, niż w roku ubiegłym. Przyrost naturalny na tych kontynentach wzrósł w ostatnim roku o ponad 2 proc., zaś produkcja żywnościowa spadła o 1 proc.

■ W czasie swego pobytu w Stanach Zjednoczonych premier Izraela — Eshkol oświadczył przedstawicielom organizacji żydowskich w Ameryce: „Amerykańskie żydostwo wspaniale zademonstrowało w

rych krajów zachodnich w sprawie eksportu komputerów do krajów Europy Wschodniej.

■ AFP: „Maolizm dokonał szybkich postępów w krajach Ameryki Łacińskiej, a partie i organizacje marksistowsko-leninowskie typu maolowskiego powstały w ponad 10 krajach latyno-amerykańskich”.

■ Szef sztabu armii izraelskiej gen. Haim Bar Lev w

Wbrow ostrzeżeniem izraelskim ZRA rozpocznie realizację swego planu uwolnienia statków handlowych zablokowanych na Kanale Sueskim, oświadczył w Kairze rzecznik rządu — dr Zajjat. „Być może Izrael otworzy ogień, kiedy rozpocznie się operacja uwolnienia statków, jednakże Egipt ma zamiar plany swe zrealizować, niezależnie od niebezpieczeństwa i nie ma zamiaru zabiegać o zezwolenie ze strony okupanta”.

**LISTY do REDAKCJI**

Jako stały czytelnik „Odgłosów” (tytuł, że nie prenumeratorka) zwracam się do Redakcji z uprzejmą prośbą o odstąpienie mi jednego egzemplarza nr 51/52 Waszego pisma.

Prośbę niniejszą motywuję tym, że „Odgłosy” nr 51/52 nadeszły na Śląsk do sprzedaży niekompletne, tj. bez stron od 5 do 16. Wszystkie kłosa w Katowicach i okolicy, które pro-

wadzą sprzedaż ODGŁOSÓW otrzymały takie niekompletne egzemplarze. Moje poszukiwania i reklamacje u sprzedawców oraz w Rejonowym Oddziale RUCHU w Katowicach nie dały rezultatu. Twierdzą, że tak otrzymali i tak dali do sprzedaży. Przepuszczalnie oddzielne paczki ze środkowymi stronami nie zostały nadesłane na Śląsk.

Z uwagi na to, że otrzymywanie brakujących stron do jednego egzemplarza za pośrednictwem katowickiego Ruchu raczej nie ma szans,

zmuszony jestem uprzejmie prosić Redakcję ODGŁOSÓW o wyjątkowe potraktowanie mojej prośby i odroczanie mi pełnego (kompletnego) numeru 51/52 do kompletu ODGŁOSÓW, których jestem zbieraczem.

Zaplate uiszczyć wskazanym przez Was sposobem.

Z okazji Nowego Roku przesyłam najlepsze życzenia.

Z poważaniem  
KAZIMIERZ FILIPCZYK

# Architektura — interes społeczny

Dalszy ciąg ze str. 1

dem tu może być m. in. Lublin, gdzie stosuje się także typową zabudowę, ale gdzie więcej troski przykłada się do utrzymania zieleni. Zieleni bowiem stanowi ważny, aczkolwiek niedoceniany element architektury. Dlatego można mieć pretensję do mieszkańców nowych osiedli, o zbyt mały wysiłek dla utrzymania estetycznego wyglądu otoczenia swoich mieszkań.

**ODGŁOSY:** — Wydaje się, że taka opinia byłaby krzywdząca dla mieszkańców niektórych osiedli. Przede wszystkim w roku 1966 wartość prac łódzian w czynach społecznych była na poziomie udziału mieszkańców Wrocławia — 32,4 miliona zł — i Krakowa 30,5 miliona zł. Łódzianie dali pracę wartości 31,4 miliona zł. Z tego wiele poszło właśnie na upiększanie nowych osiedli. Wystarczy tu choćby wymienić Zubardz, który nabrał jakiegoś wyrazu właśnie dzięki krzewom róż.

**ST. ŻALOBNY:** — Bardzo często nie bierze się pod uwagę procesów społecznych, jakie zachodzą w nowych osiedlach. Dla przykładu — mieszkańcy widzewskich domków kunitzerowskich byli zintegrowani — tworzyli pewną zespólną społeczność. Do nowych osiedli przychodzą ludzie z różnych stron miasta, z różnych środowisk, nie żyjący z sobą, nie przywiązani do miejsca. Proces integracji będzie tu dopiero zachodził. Oczywiście, że można go przyspieszyć i sadzić, że zbyt mało robi się dla jego przyspieszenia.

Jest i druga strona tego zagadnienia — ekonomiczna. To ze względów ekonomicznych dąży się do projektowania mieszkań na ograniczonej powierzchni i dąży się do stawiania domów na przestrzeni określonej normatywnie. W wyniku takich dążeń człowiek czuje się źle zarówno w ciasnym mieszkaniu, jak i w ciasnym osiedlu. A do tego wszystkiego w Łodzi nie ma właściwie ani jednego osiedla zbudowanego po wojnie, które byłoby osiedlem wybudowanym całkowicie. Wszędzie coś się dobudowuje, coś się zmienia, wszędzie czegoś jeszcze brakuje. W rezultacie osiedle różni się od koncepcji, którą przygotował projektant.

**H. RODZIEWICZ:** — Na pewno wszelkiego rodzaju elementy plastyczne — rzeźby, estetycznie zaprojektowane i prefabrykowane urządzenia dla placów zabaw dla dzieci — przyczyniają się do urozmaicenia osiedla, nadają mu określony wyraz, ale nie stanowią jedynego lekarstwa na brzydotę i jednorodność. Poważnym mankamentem jest to, że w nowych osiedlach nikt nie pomyślał o funkcjonalnej roli i plastycznym wyrazie osiedlowego centrum handlowo-usługowego. To, co się robiło do tej pory — to przeważnie działanie przypadkowe, szukanie przypadkowego inwestora, działanie bez koordynacji poczynił inwestycyjnych, bez rozumienia roli takiego centrum dla osiedla.

**Z. LIPSKI:** — Centrum osiedlowe nie może ograniczyć się tylko do usług i handlu. Nie wolno zapominać o sprawach kultury i rozrywki. Obecnie Dąbrowa czy Teofilów przedstawiają pod tym względem pustynię. Wynik — po osiedlach waleją się grupy młodzieży, która nie ma co robić z wolnym czasem. Centrum osiedla powinno zawierać obok handlu i usług pomieszczenia kulturalno-rozrywkowe, salę do gier, kregielnię, bufet, gdzie można by napić się piwa, gdzie byłaby biblioteka, sala widowiskowa — jednym słowem zespół czynników, które kształtowałyby określenie nawyki spędzania wolnego czasu jednak nie na zasadzie świetlicy czy domu kultury, ale zintegrowane z handlem, a dzięki temu łatwiej dostępne i bardziej atrakcyjne.

Można by zapytać, co stoi na przeszkodzie

realizacji tych dążeń. Wydaje mi się, że główną przeszkodą jest partykularyzm inwestorów. Każdy inwestor dba głównie o swoje — wąsko pojęte — interesy. Tylko projektant wie, jak trudno doprowadzić do tego, aby dwaj inwestorzy zgodzili się na postawienie wspólnego zaplecza dla dwu sąsiadujących z sobą sklepów. Tutaj już żadnego znaczenia nie odgrywa — tak ważny gdzie indziej — czynnik ekonomiczny.

**ODGŁOSY:** — Do tej pory mówiliśmy o architekturze osiedli powstających na obrzeżach miasta. To jest niezwykle ważne dla przyszłego kształtu Łodzi. Nie jest to jednak czynnik jedyny. Łódź jest w sytuacji, kiedy śródmieście wymaga przebudowy, kiedy właściwie nie ma centrum. Dopiero przy budowa ul. Głównej pozwala sądzić, że narazie powstała w tej dziedzinie jakaś koncepcja.

**J. MICHAŁEWICZ:** — Największą pretensję można mieć do dotychczasowej przebudowy Łodzi, o brak charakterystycznych zespołów. Łódź potrzebuje budowli, które nadałyby jej określony charakter, które pozostałyby na długo w pamięci zwiędzających, decydujących o tej kształcie architektonicznym. Miasto ma naturalne miejsca nadające się doskonale na postawienie takich właśnie budowli. Mam tu na myśli skarpę biegnącą wzdłuż ul. Północnej, plac Niepodległości itp. Moim zdaniem plac Niepodległości powinien od dawna mieć pełny projekt urbanistyczny. Dotychczasowa zabudo-

terytorialnie większe. W centrum nie należy projektować budynków mieszkalnych.

**H. RODZIEWICZ:** — Łódź wygrała wielki los na loterii, bo przebudowa centrum jest jeszcze przed nami. Popelniono do tej pory szereg pomyłek. Moim zdaniem pomyłką jest „Balaton”. O „Magdzie” można dyskutować. Podobnie jest z „Domusem”. Wiele optymizmu wnosi projekt przebudowy ul. Głównej. Tylko, że i tutaj występują trudności, które mogą doprowadzić do nowych błędów i dalszych nieporozumień. Okazuje się, że są najlepsze chęci i zamiary, ale nie ma inwestorów. Nie ma w każdym razie koordynacji inwestycji w tej części miasta, a bez tego nie jest osiągnięty.

**Z. LIPSKI:** — Zaprojektowano lub zrealizowano w Łodzi kilka budynków, które powinny stanowić elementy centrum — w ścisłym tego słowa znaczeniu — a które zlokalizowano poza nim, np. Domus, Dom Towarowy PSS, Dom Związków Zawodowych itd.

Uważam, że władze miejskie powinny starać się o skoordynowanie zamierzenia inwestorów, których obiekty winny znaleźć się w centrum, dla całej przyszłej pięcioletki i zlokalizować je w zespole, który stanowiłby skończony fragment centrum. Czy istnieje możliwość takiego działania? Oczywiście, tak. Przykładem może być Bydgoszcz. Powołano tam zespół koordynacyjny. Zebrał on zamierzenia inwestycyjne na całą pięcioletkę — 1970—1975 i opracował projekt



wa — „Uniwersal” czy „Motozbyt” to lokalizacje przypadkowe.

**ST. ŻALOBNY:** — Z dotychczasowych obserwacji wynika, że pierwszym krokiem, zmierzającym do ukształtowania nowoczesnego centrum Łodzi, jest przebudowa ul. Głównej. Bo wszelkie poprzednie poczynania prowadziły jedynie do łaniania „dziur” i były nieporozumieniami. Dotyczy to zarówno „Balatonu”, „Magdy” jak i „Domusa”. Nieporozumieniem jest dotychczasowa zabudowa pl. Niepodległości. Zamiast stworzyć wielkomiejskie centrum, robi się wszystko, aby stworzyć centrum dzielnicowe.

W takiej sytuacji powstaje pytanie: co zrobić z ul. Piotrkowską? Tradycja ukształtowała na tej ulicy swoiste centrum handlowo-usługowe. Silić się na jego przebudowę? Moim zdaniem należałoby pozostawić istniejące lokale handlowe i usługowe, natomiast przebudować „zaplecze” — na tyłach dotychczasowej historycznej Piotrkowskiej — powinny powstać wysokie domy mieszkalne. Uważam, iż człowiek jest najważniejszym czynnikiem miastotwórczym i dlatego nie wolno centrum oddzielać od zespołów mieszkalnych.

**Z. LIPSKI:** — Chciałbym wprowadzić pewne rozróżnienie pojęć. Centrum — stanowi skupisko lokali handlowych, usługowych i administracyjnych. Śródmieście jest pojęciem szerszym — dotyczy centrum i okalających go rejonów, gdzie dopuszczalne jest budownictwo mieszkaniowe. Takie uściślenie pojęć jest niezbędne. Centrum bowiem zajmuje niewielką przestrzeń. Śródmieście jest

koordynacji tych inwestycji (nagrodzony nagrodą Min. Budownictwa). Dzięki temu miastu będzie mogło zapewnić w odpowiednim czasie kompleksowe urobinie terenu, realizowane sukcesywnie, zgodnie z pełnym planem pięcioletki, a także realizację skończonych fragmentów miasta.

**ODGŁOSY:** — Sytuacja jest dość paradoksalna — nikt właściwie nie chce, aby Łódź była brzydkim miastem, każdy gotów jest wytknąć szereg popełnionych błędów, każdy niemal wie, co trzeba by zrobić, aby było lepiej, a mimo to niewiele zmienia się na lepsze. Jednym słowem działają obiektywne hamulce. Spróbujmy może nazwać je, wskażać źródła — o ile będzie to możliwe — oraz pokazać ewentualne drogi wyjścia.

**ST. ŻALOBNY:** — W dużym skrócie sytuację architekta czy urbanisty można przedstawić następująco: społeczeństwo ma do niego uzasadnione pretensje, ale bardzo często nie jest świadome, że rola architekta czy urbanisty sprowadza się do rozmieszczenia na papierze tego, co ściśle określił inwestor. Przy czym architekt ograniczony jest jeszcze czasem, który działa na jego niekorzyść. Oto na Dąbrowie mieszkańcy mają wiele pretensji do lokalizacji jednej ze szkół. Tym czasem nikt nie wie, że od momentu wydania pozwolenia na lokalizację do momentu rozpoczęcia prac minęło... 10 dni.

**H. RODZIEWICZ:** — Niezwykle istotne są warunki projektowania. One również decydują o przyszłym kształcie architektury

miasta. Te warunki są dla architektów niekorzystne. Nie tak dawno pewna firma zagraniczna zwróciła się do jednej z naszych central handlu zagranicznego z prośbą o przygotowanie jej w Polsce dokumentacji budowlanej oraz wyszukanie wykonawcy tej dokumentacji. Zapytano przy okazji, ile czasu będzie trwało projektowanie i ile czasu budowa. Odpowiedź nasza była zmienna: projektowanie — pół roku, budowa — trzy lata. Firma podziękowała za wykonawcę i poprosiła tylko o przygotowanie projektu. Na całym świecie proporcje są odwrotne. Przez długi czas trwa projektowanie, a dużo krócej samo budowanie.

**J. MICHAŁEWICZ:** — Działamy wszyscy w warunkach państwa prowadzącego gospodarkę planową. Mogłoby się wydawać, że architekt czy urbanista będą z góry wiedzieli jakim dysponują programem, gdzie stanie ich projekt, jakiego wykonawcę upatrzyli sobie inwestor. Tymczasem z praktyki wiemy, że zarówno władze miejskie, jak i sami inwestorzy są często zaskakiwani decyzjami inwestycyjnymi.

**H. RODZIEWICZ:** — Czasem jednak i sam inwestor uprawia dziwną politykę. Dziwna — bo partykularna, a wszelki partykularyzm jest zjawiskiem szkodliwym. Inwestor zdaje sobie sprawę, że miastu potrzeba nowych zakładów, bo to daje zatrudnienie, zmienia strukturę przemysłową miasta, przyczynia się do jego dalszego rozwoju. Inwestor dyskutuje o powiedzeniu w projekcie ma anonimowy inwestor niż architekt. Z drugiej strony architekt uzależniony jest od możliwości wykonawcy. Cóż z tego, że zaprojektuje on budynek metodą, której nikt nie wykona. W ten sposób architekt zamiast być rzecznikiem społeczeństwa — bo dla zaspokojenia jego potrzeb tworzy — staje się rzecznikiem wykonawcy. Każdy projekt musi być uzgodniony z wykonawcą. Przygotowany pod jego możliwości.

**ODGŁOSY:** — I tu mamy znów zjawisko odwrócenia proporcji. Architekt zamiast być czynnikiem przyspieszającym postęp w budownictwie, sam jest hamowany w swoich dążeniach. I to — sądzę — jest rezultatem braku koordynacji inwestycji. Z drugiej jednak strony jest to rezultat braku szeregu wariantów, z których inwestor i wykonawca mogliby wybrać projekty dobre dla siebie i atrakcyjne dla społeczeństwa.

**H. RODZIEWICZ:** — Jest to również wynik określonego systemu organizacyjnego, kiedy projektanci są podporządkowani wykonawcy. W takiej sytuacji projektantowi przyswajają trzy zasady: projektować szybko, jak najtaniej i stworzyć takie warunki, aby wykonawca już zaraz mógł wejść na plac budowy. Tylko, że nie ma to wiele wspólnego z projektowaniem. W procesie tworzenia architekt i urbanista muszą nawiązać kontakt z socjologiem, podać prognozy rozwoju przemysłu, komunikacji, nawiązać kontakt z demografem. W obecnych warunkach jest to niemożliwe. Niemożliwe jest również stworzenie kilku wariantów.

**Z. LIPSKI:** — Chciałbym na chwilę powrócić do spraw śródmieścia i centrum. W zasadzie kończą się już tereny podmiejskie. Zresztą wszyscy wiemy, że budowanie na terenach nieurozbrojonych jest drogie. W tej sytuacji oczy projektantów i inwestorów zwracają się do śródmieścia, gdzie na terenach o zabudowie zdekapitalizowanej wymagającej likwidacji mogą powstać zespoły mieszkaniowe o dużej skali np. tzw. śródmiejska dzielnica mieszkaniowa na południe od ul. Głównej. Ten projekt będzie wybrany z prac konkursowych.

**ODGŁOSY:** — O charakterze miasta będą decydowały problemy demograficzne, ekonomiczne i komunikacyjne. I dobrze byłoby, aby władze miejskie mogły rzeczywiście stworzyć takie warunki pracy dla architektów, których rezultatem byłaby możliwość wyboru najlepszych rozwiązań. Nie będzie to ani łatwe, ani szybkie. Trzeba będzie przełamać szereg nawyków, mitów, zmienić wiele przepisów, wytworzyć nowe zasady postępowania. Wszystko to będzie wymagało czasu, ale wszystko musi być zrealizowane.

Notował:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## Nożycami przez PRASĘ

### SIEDZIEĆ CICHOO

Krytyka chyblonej lub szkodliwej działalności, ujawnianie manotrawstwa kumoterstwa, kradzieży i nadużyć wszystko to nadal kosztuje, często ociera się o heroizm lub determinację.

Technika pozbywania się ludzi niewygodnych stale wzbogaca się o nowe sposoby. Najprostszym i najczęstszym to trzymiesięczne wypowiedzenie. Poza tym: „reorganizacja”, „nieuczciwy charakter”, „niekiedy dyscypliny pracy”, „niekiedy trudny w współpracy charakter”, szkany, przesuwanie na gorsze stanowiska.

Tam, gdzie działają siły, sposoby stają się bardziej perfidne: kontrolkarzenie, poufne opinie nada-

wane do przedsiębiorstw czy instytucji, gdzie „tredowaci” szukają nowego miejsca pracy, co równa się wliczeniu biletowi.

Jeden z wielu nie za bardzo jaskrawych przykładów:

Zastępca księgowego Pafawagu otrzymał wypowie dzenie pracy w dniu 24 lipca 1965 roku. Jako oficjalny powód podano: „nie układa się współpraca z dyrekcją fabryki”. Faktycznym powodem zwolnienia było jego doniesienie złożone do Prokuratury m. in. o fałszowaniu „prawo dów” dotyczących gotowej produkcji. W wyniku kontroli spowodowanej przez Prokuraturę, a potwierdzającej prawdziwość doniesienia — wszczęto śledztwo w tej sprawie, i w sprawie przeciwko win-

nym przekroczenia uprawnień poprzez wypowiedzenie pracy Janowi G. Po skutkowało. Zjednoczenie anulowało wypowiedzenie. Na razie. W jakimś czasie później Janowi G. wręczono znów wypowiedzenie, a Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego decyzję tę użyło mało w mocy.

### A przecież:

Wszędzie znajduje się na kaz dbałości o mienie zakładu, nakaz niedopuszczania do ubytków w tym mieniu.

To są obowiązki. Ze zdanie chcą uczciwie wywiązać się z tych obowiązków wynika to m. in. z cytowanych przykładów.

Ale jednocześnie nie można żądać tylko wypełnienia obowiązków jeśli nie gwarantuje się ujawniającym bezpieczeństwo — przez stworzenie w zakładach pracy warunków, w których ten obowiązek ochrony mienia mógłby być swobodnie, bez ściągania na siebie zagrożenia w postaci szkany wykonywany.

Sprawdźcie pojęcie socja listycznej dyscypliny pracy w zakresie ochrony mienia tylko do obowiązków

pracownika bez stworzenia mu właściwej ochrony prawnej umożliwiającej wykonanie tych obowiązków, to znaczy zubożyć samo pojęcie tej dyscypliny pozbawia ją zasadniczej treści.

Usiłowania, mające na celu stworzenie ochrony prawnej dla „tredowatych” idą w różnych kierunkach.

Wprawdzie z decyzji CRZZ z 24 kwietnia 1961 roku wynika, że wypowiedzenie umowy o pracę może być uznane za niezgodne z zasadami współzycia społecznego, w wypadkach, gdy jest ono następstwem wykroczenia przez pracownika nadużyć popełnionych przez zatrudnionych w tym przedsiębiorstwie, wprawdzie wiceprzewodniczący CRZZ tow. J. Kulesza w udzielonym naszej redakcji wywiadzie w 1966 r. podkreślał, że związki zawodowe winny się angażować w ochronę tych pracowników przed spadającymi na nich szkany — niemniej sytuacja, w których związki, ich zarządy okręgowe, angażują się w tego rodzaju sprawy wliczając je do wyjątkowych.

Bolesne te sprawy raz

jeszcze porusza „Prawo i Życie” w artykule Krysty ny Świąteczkiej. Okazała się działalnosc prokuratury wrocławskiej.

Z tym większym aplauzem przywitać należy inicjatywę Prokuratury Wojewódzkiej w Wrocławiu, w wyniku której jedno z tegorocznych posiedzeń Wojewódzkiego Zespołu Koordynującego przy tejże prokuraturze poświęcone zostało problemowi ochrony praw i interesów obywateli, składających do organów ścigania doniesienia o nadużyciach, manotrawstwie, niegospodarności.

Prócz przedstawicieli prokuratury z Prokuratorem Wojewódzkim Z. Filipakiem na czele w obradach zespołu wzięli udział przed stawiciele NIK, PPH, IKR, Milleji Obywatelskiej, związków zawodowych, sądów.

Dokonano szeregu posunięć praktycznych, wysunęto postulaty, wśród nich:

Sady przy rozpatrywaniu tego rodzaju spraw powinny m. in. kosztami procesów obciążać nie zakład pracy, a bezpośrednio odpowiedzialnych za bez-

prawne zwolnienia czy szkany. Nie można bowiem dopuścić — postulował ze spół i słusznie — by złośliwie mienia publicznego lub inni przestępcy działali w obronie swego prywatnego interesu — swoich stółków — przez usuwanie niewygodnych, dodatkowo na koszty procesów wydatkowi państwowe, społeczne i pieniadze.

### ACH, OD ILUŻ TO LAT!

Nie bez złośliwej uciechy, połączonej jednak ze smutkiem, znaleźliśmy w jednej z gazet notatkę pod tytułem już klasycznym: „Nagły powrót zimy znów zaskoczył drogowców i dozorców”.

### ROZWODY

Prezes GUS, doc. dr Wincenty Kawalec zapowiada na łamach „Kultury”. Iż niebawem ukaże się publikacja analityczna „Rozwody w latach 1949—1960”. Liczba rozwodów wzrasta, choć w sposób pono umiar kowany w porównaniu z Węgrami, Czechosłowacją, ZSRR, Austrią itd. Nim ukaże się ta publikacja, przytoczmy nieco danych ogólnych:

W Polsce notuje się w ostatnich latach wzrost liczby rozwodów z 6,46 na

1.000 ludności w roku 1949 do 0,77 w roku 1966. Wskaznik ten, wyliczony w odniesieniu do całej ludności, jest ogólnie przyjętym dla porównań w czasie i przestrzeni, w kraju i za granicą, podobnie jak analogicznie obliczany wskaźnik małżeństw. Wiesz, jak dotychczas, w małym stopniu uczestniczy w tym zjawisku. W 1966 r. 1,3 rozwodów wypadło na 1.000 mieszkańców miast a 0,34 na 1.000 mieszkańców wsi. Rozwody — to głównie problem miejski, w szczególności charakterystyczny dla dużych miast. W roku 1966 rozwody orzeczone z powodstwa mieszkańców miast 100-tysięcznych i większych wynosiły w przeliczeniu na 1.000 ludności tych miast 1,76. Miastem, w którym natężenie rozwodów jest najwyższe, jest Warszawa (2,77 proc.), a następnie Szczecin (2,32 proc.), Kraków (2,09 proc.), Gdynia (1,99 proc.), Łódź (1,87 proc.), Wałbrzych (1,78 proc.) i Wrocław (1,69 proc.). Następnie jeszcze 5 dużych miast ma wskaźnik wyższy niż przeciętny wskaźnik dla miast Polski. Są to: Lublin, Gliwice, Gdańsk, Poznań i Katowice.

JAN OLECHNO

# Jak zginął „CHE”



Francuska dziennikarka Michele Ray, która przez sześć tygodni przebywała w Boliwii, odśloniła tajemnicę śmierci „Che” Ernesto Guevary. Dzięki relacjom naocznych świadków, których nazwisk nie ujawnia, oraz relacji boliwijskiego dziennikarza Jorge Torricio, Michele Ray odtworzyła, godzina po godzinie, ostatnie chwile życia „Che” Guevary i jego tragiczną śmierć w boliwijskiej wsi Higuera. Opis tych dramatycznych wydarzeń obejmuje dni 8 i 9 października 1967 roku.

JAN BABIŃSKI

## Nawrócenie beatelsów

Francuska młodzież znalazła bożka w „Rexie”. Beatelsi biją pokłony przed Maharishi. Nastolatki z Ameryki powinny natomiast wykrzyknąć — Ex California lux! Ale nie wykrzykną. Stoją z łąciną na bakiel. Są zapażeni w Sacramento i to im wystarcza. Szukają natchnienia w dalekim stanie, w którym gubernatorem jest mister Reagan, ekskrowboj z Hollywood, osobistość tak niezwykła, jak cała Kalifornia. Stamtąd płynnie wszystko co nowe i niecodzienne. Tam zapalili się pierwsze światła dla LSD i tylu innych narkotyków. Tam pojawili się brodacze z kwiatami w rozczochranych włosach. Tam roi się od studentów, którzy niczego nie studiują. Wreszcie w Kalifornii narodziła się jeszcze jedna mania, tym razem plakatowa.

Odmowę przynosi wiosna. Nieprawda. W Stanach wszystko co nowe, wtedy kielkuje, kiedy wiatr przetrząca zeschłe liście a niebo przybiera groźne, owiane oblicze. Wtedy jesienią. Każda jesień musi się czymś różnić od poprzedniej. Rób coś nowego czelce, bo zardzewiejesz jak ten gwóźdź w parszywej ścianie. Więc nastolatek z Sacramento taszczy do domu poster metrowej wielkości.

str. 4

Posepny, pustynny szczyt, porośnięty krzewami, poczęty głębokimi jarami. Jednym z nich, nie szerszym, niż dziesięć metrów, podąża 25 uzbrojonych mężczyzn. Jest głęboka noc z soboty na niedzielę, 9 października 1967 roku. Oddział boliwijskich powstańców prowadzi dowódca „Ramon” — Ernesto Guevara — „Che”.

Ostatnia walka, jaką stoczył oddział powstańców z wojskami rządowymi, miała miejsce piętnaście dni temu, w odległości kilku kilometrów od wsi Higuera. Tego właśnie dnia, 28 września, padł dowódca boliwijskich powstańców Coco Peredo. Kompania wojsk rządowych, dowodzona przez kapitana Gary Prado, pozostała na kwaterach we wsi Higuera.

Po uciążliwym marszu „Ramon” i jego ludzie dotarli wreszcie do polejka patatowego i przystanęli u stóp ogromnego drzewa figowego. Zdecydowano, żeby zatrzymać się tutaj i odpocząć. Posłyszeli ich wieśniak, który tej nocy pilnował tutaj swych pól.

Miejscowe władze administracyjne wyznaczyły nagrodę w wysokości 50 tysięcy pesetów. Więc wieśniak biegnie do Higuera, do kapitana Prado...

Podczas gdy powstańcy śpią, ich wrogowie są w akcji. O świcie cztery plutony wojsk rządowych obsadziły już obie strony jaru, a dwa plutony zamykają jego wyjścia: jedno od strony Higuera, drugie od strony Rio Grande. Są uzbrojeni w moździerze i karabiny maszynowe. Pierwsze starcie bojowe następuje o godzinie 13. Pada czterech szeregowców wojsk rządowych. Druga wymiana ognia ma miejsce dwadzieścia minut później. Następuje długa cisza, bardziej niepokojąca, niż zgiełk bitewny. Nagle, około godziny 15, na wysokości półki patatowej, gdzie „Ramon” i jego oddział spędzili noc, rozpętało się piekło. Moździerze, karabiny maszynowe, granaty. Oddział sierżanta Huancana, schodzi do jaru od strony Rio Grande i szczelnie blokuje przejście. Obłożeni powstańcy mają jedyną drogę odwrotu: wspinać się w górę, po ścianach jaru.

„Ramon” otrzymuje postrzał w nogę, a jeden z pocisków uszkodził mu łufę karabinu. Jego przyjaciel Willy podnosi go z ziemi. Dźwiga dziesięć metrów przez urwiska. Później coś w rodzaju półki i znów góra. Wspinają się z trudem, czepiając się krzaków i kołców. Willy wciąż wspiera „Ramon”, który nie może już poruszać nogą i zaczyna się dusić. Atak astmy. Obaj mają ręce we krwi. Willy nie może wypuścić z rąk „Ramona”, więc nie może też podnieść z ziemi swej broni. Nagle widzą przed sobą czterech żołnierzy wojsk rządowych, otaczają ich. Są ujęci...

— Jestem „Che” Guevara — mówi do żołnierzy „Ramon”.

Przychodzi Gary Prado. Wyjmuje z kieszeni fotografię, ogląda bliźnię na ramieniu „Ramona”.

— To naprawdę on — wykrzykuje. Więc nastąpiło to, co wydawało się zupełnie niemożliwe. „Che” jest w ich ręku! — „Eylem zaszkowany — powie później Prado — coś w rodzaju ośnienia”.

Obu jeńców powierza się pieczy pięciu swoim ludziom, rozkazując, by nie odzywali się do nich choćby jednym słowem. Czterech innych powstańców poległo w walce, a dwudziestu pozostałym udało się wyrwać z okrzęzenia.

W pięć minut później, w Vallegrande, pułkownik Joaquin Zenteno, dowódca 8 dywizji wojsk rządowych, otrzymuje szyfrowaną wiadomość: „500 Canzada”. Oznacza to: „Guevara ujęty”...

\* \* \*

„Che” siedzi przy Willym, w pełnym słońcu, wśród górskich krzewów. Ma znów atak duszności. Żołnierze śmieją się i wskazują go palcami. Patrzy na nich, nie widząc ich. Jest myślami przy swoich towarzyszach walki. Zabici? Ujęci? Ilu?

Po zapadnięciu zmroku udaje się w drogę mała karawana. Willy idzie sam, ma związane ręce. Guevara stąpa na jednej nodze, podtrzymywany przez dwóch żołnierzy. Za nimi muły dźwigają na grzbietach rannych i zabitych żołnierzy rządowych.

Higuera, mała wioska zagubiona w górach na wysokości 2500 metrów, leży o trzy godziny drogi konnej od wsi Incara, też wtopionej w wysokie pasmo górskie, ale dostępnej dla dżipa. Higuera, 400 mieszkańców, ma niskie domki pokryte dachówką. Kilka uliczek wąskich i kamiennych. Jedną, główną, prowadzi wprost na mały plac. Tutaj jest szkoła. Dwa okna osłonięte kratami z bambusa, wewnątrz dwa małe pokoiki klasowe. W większym siedzi na ławce „Che”, wsparty plecami o ścianę, ręce związane. Żołnierz, który go tu przyprowadził, nabija mu fajkę, zapala ją i wkłada mu do ust. Nie ma tu światła elektrycznego, ani lampy naftowej. Jeno jest sam ze swymi myślami, wrzaski żołnierzy dobiegają aż tutaj.

Złot wyższych oficerów do wioski Higuera, który trwać będzie aż do południa dnia następnego, rozpoczyna pułkownik Selich. On pierwszy przylatuje helikopterem pod pretekstem załatwienia spraw zaopatrzenia, ale naprawdę tylko dlatego, żeby zaprowadzić porządek w tym całym wojsku, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Na placu, przed szkołą, Prado rozdaje swym ludziom osobiste rzeczy, należące do jeńców. Po bitwie, rannemu „Ramonowi” udało się schować w krzakach woreczek z dokumentami, który, w dwa dni później, odnajdzie miejscowy chłop, ale pozostał przy nim plecak. Właśnie wokół tego plecaka rozgorzały kłótnie o pamięć...

Wybuchły spory i głośne awantury. W małym pudełeczku znajdowały się spinki do mankietów. Podporucznik Perez idzie do szkoły i brutalnie otwiera drzwi od klasy:

— One są twoje? — pyta Guevara.

— Tak, i życzę sobie, żeby je oddał memu synowi.

Perez wychodzi bez słowa.

Inny oficer, Espinoza, chciałby mieć fajkę. Ale wszystko, co było w plecaku jest już rozgrabione. On jednak chce coś do wymiany. Więc idzie do szkoły, podchodzi do „Che”, chwytając go za włosy, obala na ziemię i wrywa mu z ust kryształową fajkę.

— A, to ty jesteś ten legendarny „Che” Guevara?

— Tak, jestem „Che”. Ministrem również. Ty nie masz prawa traktować mnie w ten sposób — mówi więzień. I nagle, silnym kopnięciem zdrowej nogi odtrąca Espinozę. Oficer mierzy wzrokiem pogardliwym i zarazem ironicznym. Natomiast żołnierzom odpowiada uprzejmie, jak to zrelacjonował radiooperator Ramberto Villaruel.

Sprawdza mu wreszcie pielęgniarka. Po upływie tylu godzin... W piątek rano „Che” wyraził chęć do rozmowy i poprosił do siebie kierowniczkę szkoły wiejskiej.

Młoda, 22-letnia brunetka o zielonych oczach, Julia Cortez opowiada:

„Bałam się tam pójść, lękałam się, że jest to ktoś brutalny... Tymczasem stanęłam przed człowiekiem o bardzo miłym sposobie bycia, o spojrzeniu łagodnym, a jednak drwiącym zarazem... Nie mogłam mu spojrzeć w oczy”.

— Pani jest nauczycielką? Czy wie pani, że nie należy kłaść akcentu na „se” w zwrocie „ya se leer”? — powiedział bez ogródek, wskazując na jeden z rysunków zawieszonych na ścianie.

Zartował i oczy mu się śmiały.

— Wie pani, na Kubie nie ma takich szkół, jak ta. To przecież ciemnica. Każde dziecko wazszych chłopów mogą się uczyć w takich warunkach. To jest niepedagogiczne.

— My jesteśmy biednym krajem — odpowiedziałam.

— Ale wasi dostojnicy rządowi i dowódcy wojskowi mają mercedesy i wiele innych kosztownych rzeczy! Oto dlaczego my walczymy...

— Pan przybył z bardzo daleka, by walczyć w Boliwii.

— Jestem rewolucjonistą i byłem już w wielu miejscach.

— Pan przybył, żeby zabijać naszych żołnierzy.

— To jest wojna, proszę pani!

Nauczycielka opowiedziała tę rozmowę boliwijskiemu dziennikarzowi Jorge Torricio. „Rozmawiając z nim spuściłam oczy. Spojrzenie miał spokojne, ale bardzo przenikliwe, nie do wytrzymania”.

\* \* \*

Okolo południa „Che” znów chciał ją widzieć. Wiedział, że pozostało mu zaledwie kilka chwil życia. Na pewno mniej, niż godzinę. Co chciał powiedzieć? Co chciał jej przekazać?

— Ale ona odmówiła.

„Nie wiem dlaczego — powiedziała. — Może ze względu na jego oczy, na jego spojrzenie. Dziś tego żałuję”.

Helikopter wojskowy, pilotowany przez majora Nino Guzmána, lądował i startował bez przerwy. „Trudno dokładnie sprezywać, kto przybywał i z kim — powiedział mer wioski Annibal Quiroga. Ruch był duży, wiem tylko na pewno, że był tu generał Orando, generał Lafuente, pułkownik Zenteno, kontradmirał Higuetea a także agent CIA — niejaki Gonzalez”.

Kontradmirał wysiada z helikoptera i nagradza szeregowców, rozdając im pieniądze. A wszyscy defilują przed człowiekiem, który nie zna leku przed śmiercią. Wiedzą, że ich przesłuchania będą bezskuteczne, i że w zamian usłyszą obelgi.

Powoli uczucie upojenia zwycięstwem przez radza się w nich w bezsilną wściekłość. „Che”, ze związanymi rękami, siedzi na ławce, opiera się plecami o ścianę i spogląda na nich z pogardą.

Mają trudny wybór. Pilnować jeńca? Ale jak długo? Zabici go? Ale czy to nie ryzyko zrobić z niego męczennika? Kto wie, czy martwy „Che” Guevara nie będzie groźniejszy, niż ów „Ramon” z la Selva...

Razem, i każdy z osobna, próbują jednak zmusić go do mówienia. Kontradmirał Higuetea zbliża się do „Che”, ale jeszcze szybciej odchodzi czerwony z wściekłości.

„Che” splunął mu w twarz.

Krótko przed południem odjeżdża z Higuera trzydziestu wyższych oficerów. Wydane rozkazy są jasne. Tymczasem inny powstaniec, Benjamin, zwany „El Maestro”, którego ujęli żołnierze, jest zupełnie zalamany. Gdy schwymano rannego dowódcę, nie miał już chęci do ucieczki. Uwięziono go w klasie, razem z Willym.

Była godzina 13, gdy „Che” podniósł się z ławki. Usłyszał głosy dochodzące z zewnątrz. Toczył się spór:

— Ja także, ja też chcę tam wejść...

— Ty? Ty będziesz miał Willego i „El Maestro”...

W chwilę później otwierają się drzwi i do klasy wchodzi podoficer Marino Teran z karabinem M2 przy biodrze.

— Siadaj — powiedział.

— Po co, przecież przyszedłeś, żeby mnie zabić — odparł spokojnie „Che”.

— Nie, siadaj.

Teran ma spuszczone oczy, unika spojrzenia swego więźnia. Wydaje się, że chciałby się cofnąć. Nagle... krótka seria... „Che” pada. Za nim, na ścianie, pociski żłobią dwa krwawe wgłębienia wielkości pięści. Leży, kona. Do klasy wchodzi Perez z rewolwerem w dłoni. Zbliża się. Strzałem w szyję dobija człowieka leżącego na ziemi... „Strzał dla formalności” — powie nazajutrz dziennikarzom lekarz Mojse Abraham.

Dwóch czy trzech mężczyzn wchodzi za Perezem do klasy. Teraz wszyscy chcą strzelać do wroga tak długo niezwykłego.

„Zgoda — mówi oficer — ale nie powyżej pasa...”.

W sasiadnym pokoju Willy i „El Maestro”. Gdy z kolei otwarto drzwi i do ich klasy, wiedzieli już, co ich czeka. To właśnie sierżant Huancana stoi przed nimi z bronią w ręku. Są skrepowani i siedzą na ziemi.

— Wyście go zamordowali — woła Willy.

— Gdy „Che” nie żyje, mogą też umrzeć...

dzę jankesów. Włec Boston. Każdy ma prawo do własnego bohatera, bo ci herosi ze szkolnych podręczników znudzili się nam śmiertelnie.

Postery fabrykowane są masowo przez wyspecjalizowane przedsiębiorstwa. Idą jak przed laty hula-hop. Wszędzie, jak Stany długie i szerokie, wszędzie otwierane są wciąż nowe sklepiki z posterami. Popyt na nie wciąż rośnie.

Gdy masz po uszy Bogarta, wówczas wymieniasz go na anielskie oczeta modelki Twiggy. Bóstwa przechodzą i odchodzą. Są w ciągłym pochoździe. To się marszczy, to znów śmieje, nigdy jednak nie nudzą, bo nowa kapliczka za dolara czeka za rogiem, w sklepiku. Żadną miarą nie wypada modelki się do jednego tylko bożka. Już starożytni wiedzieli, że to nonsens, więc trzeba bożków zmieniać. W plakatowym interesie kręci w Stanach 800 gigantycznych hurtowni. Kilkunastu anonimowych malarzy (z nich każdy jak umie podrabia Toulouse-Lautreca) zrobiło już fortunę. Niektórzy dobijają pierwszego miliona dolarów. Poster-boom wciąż się rozwija.

Plakatomania doczekała się uznania. Pobłogosławił jej tygodnik „Life” o 8-milionowym nakładzie. Nic to jednak beatelsów nie obchodzi. Jak przystało na szanujących się Anglików oni nie poddają się zewnętrznym naciskom. Anglia, to Anglia. W Anglii inne są klamki u drzwi, inne okna w domach, a same domy też inne. Autobus w Londynie jedna ulica łączy do Steatham, a powraca druga. W Anglii inne są kolejowe wagony, inaczej też się otwierają. Elektryczne gniazdzka w ścianach też są inne. I tak być powinno. Drogi panie, Allach stworzył Anglie, żeby pozostała sobą. To byłby despekt wielki i jeszcze większy brak narodowej godności, gdyby londyński beatels miał w czymkolwiek naśladować wyrostków z Sacramento.

Beatelsi wbiłi sobie w głowe stare mardrości Dalekiego Wschodu. Modla się do Maharishi. O dziwo, Kalifornijczycy znaleźli naśladowców w Paryżu. Całym tym interesem zajęto się dwóch młodych i przed siębiorczych ludzi. Panowie Chateau i Kuperberg są na ustach wszystkich. Do prasy przedostali się również wieści, że ich wspólnik i ideowy pobratymiec monsieur Loufrani przefrunął Atlantyk i wyładował w Sacramento. Z bliska wywuchał czym to wszystko pachnie — ile przy okazji można by utluc franków, Monsieur Loufrani powrócił z walka pełna nie tyle snów, co realnych pomysłów. Niektóre zaczęły owocować. Do amerykańskich bożków dodano nowe, już francuskiego chowu. Są nimi King Kong, Moshe Dagan, Barbarella i nieśmiertelny Hallyday. „L'Operation posteur” nabrała w Paryżu rozmachu. Wstępny sondaż zdaje się zapowiadać oszalamiający sukces. Kuperberg głosi, że będzie wypuszczał na francuski rynek pół miliona posterów tygodniowo.

Wielki dzwon zabrzmiał w katedrze Notre-Dame, by ogłosić koronację roi, ale rozlegnie się w kinie „Rex”, by triumfalnie donieść o inronizacji posterów z King-Kongiem w pierwszym rzucie. Właśnie w hallu „Rexa” ma być otwarte pierwsze we Francji stoisko z posterami. Cena — 3 franki. Tanie jak barszcz. Tyle co 3 bilety do paryskiego metra i 3 razy mniej niż jeden bilet na Jamesa Bonda w kino-teatrze na Pigalle. Żeby było oryginalnie hall „Rexa” ma być przystrojony odciskami rak i nóg co znaczących gwiazd Hollywoodu. Postara się o to 25-letni Philippe Hellman ruchliwy syn właściciela „Rexa”. Papa zezwolił. Cóż to szkodził matkę na drażku pokazać? Zreszta z pieniędzy i mała tańczy. Najważniejsze, żeby ruch w kasie był większy niż u „Lafayette’a” podczas soldów.

Komu posteur, messieurs, komu?

# Śladami polskich scholarów

Dalszy ciąg ze str. 1

nie ono wkrótce pół miliona mieszkańców.

Omiamy jednak te nowoczesne, uprzemysłowione i nacechowane nerwowym pośpiechem dzielnice. Szukamy pomników przeszłości; chcemy kontemplować piękno zabytków i architektury starej Bolonii, wędrować śladami polskich humanistów. I oni tak jak my, stali ongi na Piazza Maggiore, obudowanym fasadami wspaniałych pałaców: (XIII-XV w.) Palazzo Re Enzo, Palazzo dei Notai i Palazzo d'Accursio, podziwiali masyw ratusza miejskiego, ogarniali wzrokiem tak jak my, przepyszny portal romańskiej bazyliki San Petronio i oni także snuli swe marzenia, wsłuchani w melodię fontanny Neptuna, potem zaś ochładzać się mogli świetnym winem toskańskim w licznych winiarniach okalających to centralne rendez-vous całego miasta.

Piazza Maggiore nie straciła nic ze swego monumentalnego charakteru. Jest nadal ośrodkiem, do którego biegają główne arterie uliczne i ściągają rzesze turystów pomimo jesiennej już pory. Schody prowadzące do bazyliki San Petronio upodobała sobie sfrustrowana młodzież. Chłopcy o długich lokach i dziewczęta w obcisłych spodniach przysiadają tu do późnego wieczora, po czym zapadają gdzieś w ciemności noce, by znów rana zająć poprzednie stanowiska. Pałace bogaczy zamieniono dziś na biurowe sztuki. Bolonia chlubi się piękną galerią malarstwa, gdzie obok rzeźbiarstwa włoskiego renesansu szczególnie bogato reprezentowana jest twórczość trzech artystów bolońskich z rodziny Carraccich.

Powstałe na gruzach etruskiej osady miasto, stało się ośrodkiem intensywnych poszukiwań archeologicznych, posiada też niezwykle cenną ekspozycję zbiorów wykopaliskowych. Jakże bogatą kulturę artystyczną stworzyli pierwotni mieszkańcy Italii, mityczni potomkowie trojańskich wodzów — Etruskowie. Nieprzebrane zasoby broni, naczyń, narzędzi i różnorodnych ozdób żeńskich i męskich w brązie i złocie odnaleziono zostały na ich cmentarzyskach. Ale źródła pisane o nich milczą. Nieodgadnione zostało pismo jakim się posługiwali.

Bezlitosny czas po macoszemu ob-

szedł się jednak z tym renomowanym ośrodkiem uniwersyteckim. Najdawniejszy do dziś dochowany budynek, to zaadaptowana w wieku XVI dla celów uczelni dawna gospoda „Pod Wotem”, stąd nazwa budynku Al Bo. W ciągu wieków kilkakrotnie podlegał on renowacji i przebudowie. Z dawnych pomników pozostała w nim przede wszystkim wspaniała kolekcja herbów i emblematów, byłych studentów i dobroczyńców uczelni, zdobiąca ściany uniwersyteckiej auli; dalej śliczny, autentyczny podwórzec z XVI stulecia otoczony arkadami, pod którymi nie brak również różnych elementów z dawniejszej jeszcze przeszłości. Podziw budzi unikalny amfiteatr anatomiczny z XVI wieku, stanowiący novum w ówczesnym nauczaniu. Wzruszenie zaś ogarnia na widok katedry Galileusza, z której ten uczony ongi wykładał. W sali senatu natrafiamy na bliższy już naszym czasom dowód przyjaźni międzynarodowej. Ściany tej sali wypełniły się w wieku XIX freskami reprezentującymi słynnych padewczyków. Wśród nich rozpoznajemy Klemensa Janickiego, Jana Kochanowskiego, Sebastiana Petrycego z Pilzna i Stefana Batorego (jego padewska przeszłość budzi zresztą u historyków poważne wątpliwości). Jest tu również popiersie rektora uniwersytetu w Padwie, kanclerza Jana Zamoyckiego, ufundowane przez ambasadora polskiego w Rzymie w okresie międzywojennym, Alfreda Wysokiego. Pamięci innych zasłużonych absolwentów i uczonych uczelni wystawione zostały pomniki na otwartej przestrzeni w miejscu osuszonego mokradła zamienionego w park miejski (Prato della valle). Działo się to w XVIII wieku, kiedy zastój uczelni i jej upadek groził formalnie zapomnieniem o jej wielkich czasach. W tym swoistym Pantheonie za sprawą Stanisława Augusta znalazły się tu pomniki dwóch polskich królów, Jana Sobieskiego i Stefana Batorego. Zwycięzca spod Wiednia, nigdy jednak w Padwie nie studiował, a co do Batorego, jak już wspominałam, jest to również więcej niż wątpliwe.

Młody profesor, który nas oprowadza po uniwersyteckich zabudowaniach, rozprawa chętnie o teraźniejszości. Tłumaczy nam, że po latach zastoju życie uniwersyteckie nabrało z powrotem żywego rumieńca. Miasto zaroilo się znów od młodzieży, która we Włoszech tłumnie forsuje bramy uczelni. Przdają tu nadal nauki humanistyczne. Ambicją odmłodzonego ośrodka jest kontynuować dawne wielkie tradycje, służyć nauce i krajowi. Rozumiemy jego zapal.

Wędrowka w krainę przeszłości zużyła umysł, umęczyla nogi. Udajemy się wraz z naszym gospodarzem do historycznej Caffè Pedrocchi. Sędziwa kawiarnia pamięta co najmniej napoleońskie czasy. Wysiadywał tu często Stendhal, była miejscem spotkań uczonych i młodzieży studenckiej. Podobno wino tu posiadzie bez zamawiania czegokolwiek. Nie próbowałam się o tym przekonać. Gorzkie Campari z lodem orzeźwia znakomicie. Kolor jego jest intensywnie różowy i takim też wydał się nam otaczający nas świat.

We wspomnieniach polskich peregrynantów opisane zostały bolońskie wieże. W panoramie średniowiecznego miasta naliczyć ich można około dwustu. Sterczały nad miastem dumnie, piły się wysoko ku niebu. Budowali je bogacze na własnych posiadłościach. Poszczególne rodziny ry-

walizowały między sobą, by wysokością i wyposażeniem wieży zaimponować innym. Własna warowna wieża dawała poczucie bezpieczeństwa w okresie ciężkich walk wewnętrznych, które podzieliły Italię na dwa wrogie obozy, zapewniała też pozycję społeczną wśród zhierarchizowanej ludności miejskiej. Z czasem wieże straciły swe pierwotne znaczenie, rozbudowa miasta wymagała ich zburzenia. Panoramę dzisiejszej Bolonii charakteryzują już tylko dwie krzywe wieże, widoczne z dala ponad zabudowaniami miejskiego centrum. Wieża rodziny Asinellich wysoka na 97 m, i niższa, obok niej stojąca, rodziny Garisendlich. Charakterystycznie nachylone, budują dziś podziw swą niezwykłą architekturą. Wytrzymały też szczęśliwie ciężkie dni bombardowań.

Nikt już jednak nie wie, gdzie znajdowały się pomieszczenia średniowiecznego Studium Generale. Najstarszy budynek uniwersytecki pochodzi z r. 1549. Jest to okazały renesansowy pałac z rozległym dziedzińcem, okolonym arkadami i zdobnym w rzeźby stawiane tu na cześć ludzi nauki. Wszędzie tu już jednak dostrzeżę się rękę renowatora. Autentyczne pomniki najdawniejszej przeszłości odnaleźć można w licznych kościołach bolońskich, zasobnych w sarkofagi i tablice nagrobkowe. Założycieli głośnej szkoły prawniczej, słynnych glosatorów średniowiecza, wdzięczne społeczeństwo uczciło szczególnym pomnikiem, wystawiając ich bogate sarkofagi na widok publiczny przed kościołem św. Franciszka. Rzeźbione w kamieniu trumny ustawione na wyniosłych postumentach sterczą wysoko ponad ulicę, patronując jej niejako. I tak, sławni ci ludzie od stuleci trwają nadal w otoczeniu społeczeństwa, którego byli chlubą.

Uniwersytet boloński po głośnej sprawie wyjazdu studentów w r. 1321, opustoszał i podupadł, ustępując z czasem w znaczeniu sąsiedniej uczelni w Padwie. I nasz szlak wiedzie do tego miasta.

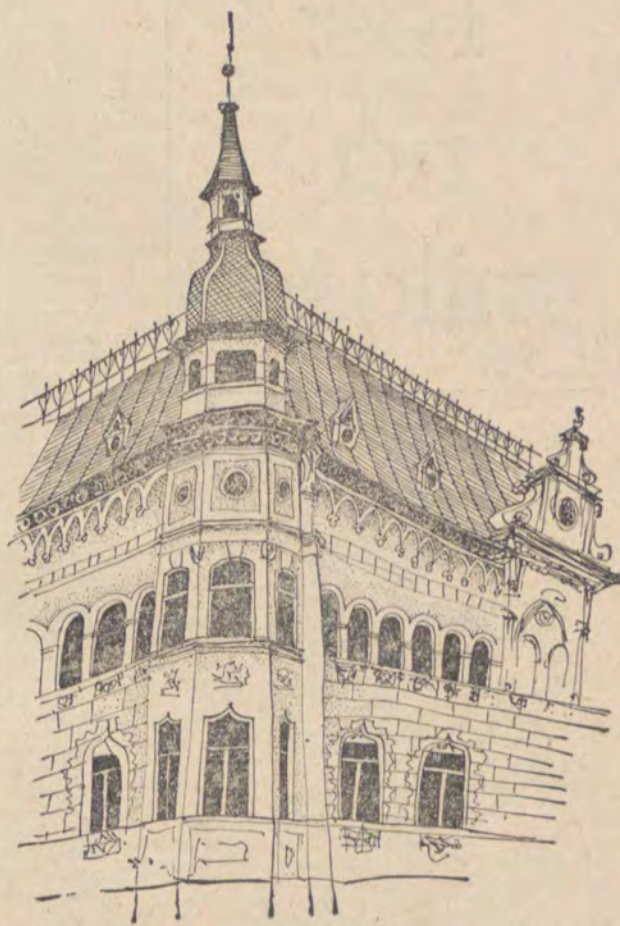
Dziś Padwa nie dorównuje wprawdzie tempem rozwoju Bolonii, ale jej świetne zabytki — pomimo zniszczeń wojennych ocalały — ściągają tu tłumnie turystów. Możemy więc podziwiać w Cappella degli Scrovegni, freski Giotta, najslawniejsze dzieło tego artysty i nie mniej głośne malowidła A. Mantegni'ego w kościele augustiańskim degli Eremitani, odwiedzić oryginalną, kształtem i przepychem bazylikę pod wezwaniem patrona miasta i ubogich całego świata, św. Antoniego. Upiękaszają ją stulecia dorzucając tu coraz to nowe ołtarze i zdobiąc je w tysiące ex-votów, ufundowanych przez wdzięcznych czcicieli popularnego świętego. Tuż obok bazyliki, na otaczającym go placu dumna sylwetka konnego **konduktiera Gattamelaty**, unikalna rzeźba renesansowa, dłuta Donatella.

Plac Signorii i dawny targ, zwany znanymi Piazza del Erbe (zielony rynek), na którym wznosi się potężny pałac delli Ragione, przypominają czasy humanistycznych wędrowek. Docieramy w ten sposób do Padwy „uczonnej”. Bo Padwa to głównie i przede wszystkim jej uniwersytet — gdyż, jak to określił jeden z humanistycznych myślicieli XVI stulecia: „bez Uniwersytetu Padwa nie byłaby Padwą”. Jakby zaś wyglądała polska kultura renesansowa bez naszych padewczyków?

ZOFIA LIBISZOWSKA

Z teki Wacława Kondka

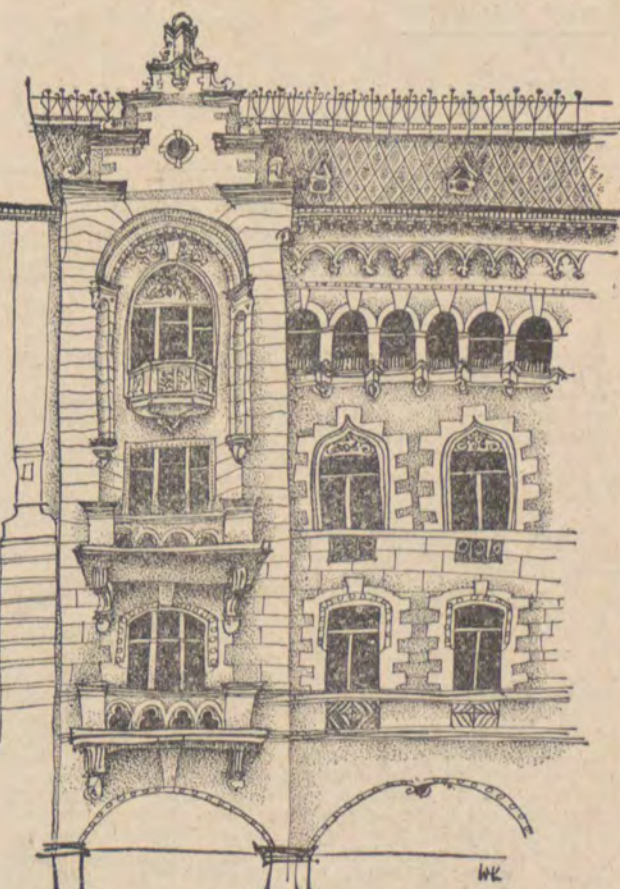
## Ulica Piotrkowska



Nr 12



Nr 19



Nr 12

Beatelsi są zatopieni w kontemplacji. Plakatomanie przyjęli ironicznym uniesieniem brwi. Nie raczyli nawet skomentować nadchodzących z Paryża wieści. Śmiesznie to wszystko, infantylne. Oni są inni. Zupełnie inni. Wnieśli się na poziom bez porównania wyższy. Spoglądają na amerykańskie dziwadłwa z lekceważeniem i pogardą. Wszystkie te choroby, także LSD mała już za sobą... Zbrzydło nam to. Cuchnie. Mamy to gdzieś. Nareszcie odnaleźliśmy pogodę ducha. Możemy teraz spoglądać na świat z dystansu i z przynurzeniem oka... Czwórka angielskich beatelsów nawróciła się na maharashizm. A za nimi przed hinduskim ołtarzem stanęło tysiące innych Albińczyków. Beatelsi oddają się duchowej medytacji.

Ich prorokiem jest Maharashi — słynny jog hinduski. To czczeni niskiego wzrostu, który pochodzi z Kaszmiru i przemawia do wiernych głosem słodkim jak miód i melodyjnym jak dźwięk fletu. Przez długie lata Maharashi pozostawał w cieniu. Był jednym z wielkiej armii hinduskich magów, którzy albo zaklinają węże, bądź zakopują się żywcem do ziemi. Najbardziej zrećni wdrapują się niczym pawiany na sam szczyt grubego sznura z konopi. Sznur wygląda jak pionowo wprostowany boa. Ale to żaden wąż, tylko skręcone konopie, na których czubku chwycając się na wietrze, medytuje super-jog.

Beatelsi wybrali Maharashiego. Wylansowali go w tempie tak błyskawicznym, że niepozorny mag stał się nagłe postacią znaną na wszystkich kontynentach. On nie ma teraz czasu. Jest rozrywany. Codziennie odpowiada na setki listów. Wszyscy są w nim zakochani. Filozofia hinduskiego joga sprowadza się do kilku podstawowych, jasno wyłożonych twierdzeń. Życie jest całością. Jest niepodzielne. Składa się na nie suma wartości duchowych i ma-

terialnych. Trzeba jednak odnaleźć duchowe walory swego jestestwa, by korzystać w pełni z rozkoszy materialnej natury. Wejrzij w siebie samego! Trzeba dotrzeć do głębi własnej duszy. Jaka wiedzie droga do tego celu? Jest nią medytacja. Trzeba hartu, siły woli, trzeba codziennie półgodzinnych ćwiczeń, więc kontemplacji. Poważna prasa brytyjska traktuje maharashizm jako jeszcze jedną manię skłóconych z życiem młodych ludzi.

Jeden z najbardziej znanych dziennikarzy, Pelegrine Worsthorne, jest całkiem innego zdania. Swa opinie wyłożył na łamach „Sunday Telegraph”. Worsthorne uważa, że nawrócenie beatelsów ma większe znaczenie dla przyszłości Wielkiej Brytanii, niż zmiany w składzie rządu, jakich dokonuje premier Wilson. Worsthorne spędził w towarzystwie beatelsów i ich duchowego przywódcy Maharashiego cały tydzień. Po tem napisał jasno, precyzyjnie i z zimnym wyrachowaniem, że nauka hinduskiego maga wydaje się płytka i zdawkowa. Uderzyło go jednak skupienie z jakim ci młodzi ludzie, którzy mają przecież tyle okazji do rozrywek bardziej przyziemnej natury, słuchali górnolotnych słów swego mistrza. Kto wie, czy młode pokolenie Anglosasów nie poszukuje nowej religii dla wypełnienia pustki w duszy. Tradycyjne religie, które zrodziły się na pustynnych piaskach Bliskiego Wschodu nikogo już nie interesują. Wpierw ci młodzi szukali pociechy w narkotykach. Znaleźli zawód i zniechęcenie. Teraz patrzą z nadzieją w stronę Indii. Spodziewają się stamtąd duchowego odnowienia. Dla nich lux przychodzi ex Oriente. Zresztą nuda czymś zabić trzeba. Maharashi jest do tego równie dobry jak modelka Twiggy. Może nawet lepszy. Cisza, szan... Beatelsi kontemplują. Kujomioteria syan, co to znaczy? Ba, że-bym to wiedział.

str. 5

## Test na miłość

Nie miałam rodzeństwa, byłam jedynaczką, szczęśliwym dzieckiem, żyjącym pogodnie i spokojnie wśród wojny; matka mnie przed nią osłaniała, kiedy padały bomby, wtulala moją głowę w swoje ramiona; czułam jej ciepło, słyszałam bicie serca, normalne, wcale nie przyspieszone, ono dla mnie tak było, abym się nie lekła, abym wierzyła w życie — aż do tamtego słonecznego dnia, w którym moja matka osunęła się po szarym murze. W ciągu tych paru chwil — a może zaledwie sekund? — potrzebnych na śmiertelne trafienie, przyjęcie kuli — ta wdźwiżyła się w ciało miękko i lekko, jakby to był plaster miodu — na jej drogę; od wyłotu lufy do granicy, którym było życie mojej matki — życie ubrane w niebieską sukienkę, błękitny skrawek jedwabiu; drogę-eliipsę, cicho świszającą, tak bardzo cicho, jakby to motyl zatrząpnął skrzydłami: tylko motyle powinny kreślić w taki ciepły, rozlśniony dzień łęczowe elipsy; przez moment pomyślałam wtedy, że może to właśnie motyl, który usiadł na puściźnie na błękitnych plecach mojej matki, a ona odwróciła się powoli, aby go nie przestraszyć ani nie spłoszyć, i pozwolił mu swobodnie odejść do prawdziwego błękitu, moja matka kochała motyle, ptaki; i gdybym wierzyła w reinkarnację — szukałabym swego rozstrzelanego pod murem matki w chabrach między zbożami, w niezapominajkach, lub właśnie w motylach; ale moja matka nie odwróciła się już nigdy więcej, widziałam — jak przywarła do muru, scalając się z nim, z jego szorstką fakturą, szorując o nią twarz i brzuch, a potem jej twarz upadła w piach i widziałam, jak ten piach czerwienieje, gestnieje w czerwieni, krzepnie w bryłę, w której prężą się i zastępują palce z polamanymi paznokciami — więc to nie był motyl, śmierć wydrążyła strzępiaste kółeczko w jedwabiu, w ciągu tych paru chwil — a może sekund? — które trwały dotąd, rozciągnęły się w mojej pamięci na lata, będąc razem z nimi umierać — gdy moja matka przeżywała wzdłuż szarego muru drogę ostateczną — stałam się dorosła, tam rozstrzelano moje dzieciństwo, konaly — kopia nogami piach — moje dobre wróżki, cudne królowny, piękni rycerze, tam rozstrzelano też moją dziecięcą modlitwę: Aniele stróżu mój, i chleba naszego powszedniego daj nam Panie, rzad ciał prażyć się w słońcu, błękit mojej matki topniał — jak można uwierzyć: na nowo?

Moje dzieciństwo ufne i pogodne przyszło jednak do mnie raz jeszcze. Gdy sama stałam matką. Jakby moja matka wróciła do mnie — we mnie. Widziałam ją znów: pochylała się razem z mną nad łóżeczkiem mego dziecka, wpatrywała się całymimi godzinami w jego twarz, razem wiazałyśmy w bukiety, nizałyśmy w korale małe uśmiechy, a żadne drgnięcie pomarszczonej czerwonej skórki nie było nam obce, było nasze, i płacz mego dziecka był naszym pla-

czem, i jego oddech naszym oddechem. Właściwie, tak myślę, matka przyszła do mnie jeszcze wcześniej: kiedy czułam w sobie bicie serca mego dziecka, musiała już wtedy przyjąć, czyż inaczej potrafiłabym dla swego przyszłego dziecka pisać bajkę? Bajkę o Minionych Latach?

Nos Ani: placek kartoflany rozplaszczony na policzku po miesiącu zmienił się w sympatyczny kartofelek, jej piastki jak gołębie jaja, mówiłam do męża: oto spójrz, oto zobacz, oto nasze dziecko, wszystkie zdania zaczynałam patetycznie od „oto”, a w krakowanym brulionie mała dziewczynka spotkała wreszcie tak długo poszukiwane Minione Lata, lecz lot motyla przerażał mnie, nadal nie lubię kwiatnych łąk, nad którymi latają motyle.

Przez dziewięć lat nie mieliśmy więcej dzieci. Najpierw — byliśmy zbyt biedni, aby sobie pozwolić na dziecko. Moje wymarzone mieszkanie okazało się jednym pokojem, lub raczej czymś, co ongi może i było pokojem; próżno przystrajałam małe okno wychodzące na szczyty dachów i paszące dymiących kominów, firankami... z gazy opatrunkowej; niestety, nie otrzymałam spadku, Stach nie wygrał głównej wygranej na loterii, musieliśmy żyć we troje za marną pensję człowieka, który studiuje i pracuje na pół etatu. Nasze roczne oszczędności pozwoliły nam na kupno łóżeczka dla Ani, kilku garnków, i — nie już więcej; od teściowej dostawałam stary tapczan, szafę-barbarę, oraz nocnik z uchem, że dla Ani, bo miejsc, do którego i król chodzi piechotą, było w podwórzu. Miałam też jeden kwiatek, rachietycznego fikusa, którego teściowa chciała wyrzucić, a kotoremu postanowiłam przywrócić życie. Stała na drewnianym parapecie pod firanką z gazy, udającą nylon i sam udawał, że żyje. Aż pewnego dnia zobaczyłam, że jego liście odzyskały sztywność, zieleni, i że wypuszcza nowy pęd. Otdąd zaczął się plenić, piał w górę, rozrastał, rodził nowe lodygi, urosł w ciągu paru lat w ogromne, rozłożyste drzewo, i dziś budzi zazdrość wszystkich moich znajomych, sąsiadów, nawet Jurka Tokarskiego, inżyniera z trzeciego piętra, a ten jest światowym bywalcem, twierdzi, że i w Monte Carlo nie widział piękniejszego.

Potem, kiedy już zaczęliśmy pomału dochodzić do „naszej małej stabilizacji” — Stach, nie wiadomo dlaczego okazał się zdolnym inżynierem, cenionym fachowcem, którego pensja na pierwszy starczała nam już nie tylko na cukier i chleb, ale jeszcze na szynkę, i na to, aby z niej coś niecoś odłożyć, kiedy doszły premie, nagrody, jakieś patenty, baliliśmy się mieć drugie dziecko ze względu na sytuację polityczną. Dlatego Krzysiu urodził się późno, dziesięć lat różnicy pomiędzy nim a Anią. Wróciłam ze swoim małym ze szpitala, miał nos na swoim miesiąc i był zupełnie przyzwoicie wyglądającym niemowlęciem, i znnowu byłam młoda, liczyłam jego uśmiechy, nizałam je w korale, a piastki jak gołębie jaja zarzucały pod nos lub na oko wywoływały łzy zachęcy cenienia. Ania obchodziła brata nieufnie; posłała się zagroźona. Obrzucała go wrogimi spojrzami. Wcale nie chciała się nim zachwycać, twierdziła, że jest okropny, i że tylko wrzeszczy. Gdy schylałam się, żeby ją pocałować — odpychała mnie, albo wydygotała pogardliwie wargi, jakby pragnęła powiedzieć: nie dbam o twoje czułości; nie rozumiałam co się dzieje, dopiero Stach sprawił mi o obłoków na ziemię, powiedział po prostu: ona jest zazdrośna, i o dzieło — miał rację, chociaż w sprawach wychowania wysuwa tak oryginalne propozycje, że mrozą one człowiekowi krew w żyłach. Mój mąż, na przykład — aby wyleczyć anginę u Ani — spikował ją lodami, twierdząc — gdy wreszcie odkryłam powód, dla którego antybiotyki nie były w stanie zlikwidować choroby — że to, czyli te lody przynoszone ukradkiem, dziecko zahartują i uodpornia. Albo usiłował kiedyś, w tym samym celu zahartowania, półtoraczecznego Krzysia „uodparniać” zimnym przysnkiem. Nie muszę wyjaśniać, że po mężowskim uodparnianiu nasz syn dostał trzydziści dziewięćtemperatury...

do jak ściałnął też Przybyszewskiego i swego narzeczoną, Marię Dobrowolską z Laskowicz, z którą wziął ślub w 1898. W ten sposób wszedł w pokrewieństwo nie tylko z ziemianką rodziną Dobrowolskich, lecz także z arystokratycznym rodem Baranowskich, którzy czuli się już Rosjanami. Jedni Baranowscy mieszkali w Moskwie, inni w Bakłani na Ukrainie, głowę zaś rodziny stanowił Jerzy Baranowski, były carski gubernator, właściciel majątku Potodranka na Ukrainie. Jego córka, Maria Dohrn-Baranowska, kuzynka żony Micińskiego, była żoną znanego przyrodnika niemieckiego, twórcy słynnej Stacji Zoologicznej w Neapolu, Antoniego Dohrni, ucznia, a potem i antagonisty Ernesta Haeckla. Inny znów Baranowski, Jan, ulegał wpływom tołstoizmu. Za jego to zapewne pośrednictwem Miciński zetknął się z rosyjskim magnatem Mikołajem Nieplujewem, twórcą Bractwa Pracy w Głuchowie na Ukrainie, gdzie Miciński przebywał w r. 1898.

W czasie studiów krakowskich oparciu Micińskiego był głównie „salon” Ignacego Maciejowskiego — Sewera, z którym Miciński napisał w r. 1896 dramat „realistyczny” z życia wsi „Marcin Luba”. W tymże roku uzyskał nagrodę „Czasu” za nowelę „Naukowiec” — jej temat był wówczas drażliwy: Nauczycielka poświęcająca się wychowaniu nieślubnego dziecka. Ale właściwym debiutem Mi-



Rys. M. Kapuścińska

cięskiego jest dopiero tom poezji „W mroku gwiazd”, wydany w Krakowie w 1902 r. (wzniesiony w r. 1957). Pewien rozgłos przyniósł mu też dramat „Noc rabinowa” drukowany w „Ateneum” 1903-1904. W latach 1904-1905 Miciński pisze w Zakopanem „W mrokach złotego pałacu” czyli Bazyliśsa Teofanu”, tragedię z dzieł Bizancjum X w. (dziś znany rękopis pochodził dopiero z 1907 r., drukiem wyszła „Bazyliśsa” w r. 1909), a w 1906 dramat „Kniaź Potiomkin”, w którym określa swój stosunek do wydarzeń rewolucyjnych 1905 roku. Powieść „Nietota. Księga tajem na Tatrze” (w „Sfinksie” 1908, samodzielnie wyszła w 1910 r.) przyrównywała rzeczywistość polską do skarlałej rośliny a trzańskich, nietoty. Summa filozoficzna Micińskiego miała być powieść „Xiadz Faust”, wielka dysputa światopoglądowa między młodym rewolucjonistą a księdzem unickim na Ukrainie. Broszury i książki Micińskiego: „Do źródeł duszy polskiej” (1906), „Życie nowe” (1907), „Walka o Chrystusa” (1911), „Widmo Wallenroda” (1914) należą do jego publicystyki. W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową porwał Micińskiego nurt historyzmu w literaturze polskiej; napisał wówczas powieść „Wita” (o czasach Stanisława Augusta Poniatowskiego, wydana dopiero w r. 1925) i dramat „Termopole polskie” (o księciu Józefie Poniatowskim, drukowany po I wojnie tylko we fragmentach po różnych czasopismach), W

Zostawiał małego na łasce losu pod jakimś sklepem, sama obchodziłam okoliczne domy. Nikt nigdzie nie widział dziewczynki w czernym piaszczycy z jasnym warkoczem. Biegłam po klatkach schodowych, zaglądałam w piwnice, pukając do mieszkań. Na którymś z podwórek mignęła mi czerwien: Aniu! krzyczałam, ach, Aniu!, ale to nie była Ania. Krzysiu pod sklepem plakał, jakieś litociwce kobiety starały się go zabawić, kiwały głowami: patrzcie, zostawiła dziecko i pewno uciekła. Przywiozłam Krzysia do domu, wsadziłam do łózka, dałam butelkę, i znnowu pobiegłam. Jedną ze spotkanych koleżanek Ani powiadziłam, że Ania normalnie ze szkoły wracała do domu: pojechałam na rogu ulicy. Wtedy nie miałam już wątpliwości: mojemu dziecku coś się stało. Coś bardzo złego. Coś i „jeśli”. „Jeśli” precyzywno „coś”. Jeśli wpadła pod tramwaj. Jeśli wpadła pod auto. Jeśli. Jeśli. Biegłam do domu roztrzęsając ludzi. Była godzina dziewięć wieców. Ciemno zupełnie. Muszę wziąć małego i pojechać na milicję.

Na słomiance przed drzwiami do mieszkania siedziała Ania. Osłabła na jej widok. Podniosła głowę, wymęczoną twarz.

— Będziesz mnie biał?

Rozplakałam się. Zza drzwi słyszałam płacz Krzysia, lecz nie mnie w tej chwili nie obchodziło, nawet Krzysiu. Usiadłam obok Ani, a ona zaczęła mnie pocieszać.

— Gdzie byłaś? Aniu? Ach, Aniu?! — powtarzałam nieprzytomnie i plakałyśmy obydwie.

— Tu — odpowiedziała.

— Jak to: tu?

— No, tu. Siedziałam w piwnicy.

— Matko święta, co ty wygadujesz, pewno jesteś chora, dlaczego w piwnicy?

— Chciałam zobaczyć.

— Coś ty chciała zobaczyć? Dziecko, co tobie?

— Chciałam zobaczyć — powiedziała cicho — czy o mnie będziesz się też niepokoiła. I tak się bałam, tak się bałam!

Nie pytałam już jej, o co się bała. Czy tego, że siedzi sama w ciemnej piwnicy, czy tego, że nie będzie się o nią niepokoić.

(Fragment opowieści przygotowywanej dla Wyd. Łódzkiego pt. „Ptaki na niebie”.)

JERZY TYNECKI

## Miciński egzystencjalny

Z POWODU PRAPREMIERY „BAZYLISY TEOFANU” W TEATRZE POLSKIM W POZNANIU

Istnieje przekonanie o pewnych zjawiskach literackich, iż są tak mało zrozumiałe, że lepiej je omijać. Do nich bezsprzecznie należy twórczość Tadeusza Micińskiego, którego życie również otoczone było tajemniczością.

Urodził się w Łodzi 9 listopada 1873 r. Ojciec jego geometra Rudolf Miciński, urodzony w Demeszkowie, pow. Stanisławów, pochodzący z Niemiec, pojawił się w okręgu łódzkim w latach sześćdziesiątych XIX w. w związku z projektem towarzyszenia kolei Kaliskiej. Ożenił się 7. IX. 1867 w Konstancji z Wandą Pruską ze średnioślacheckiej, lecz podupadającej rodziny, i przeniósł się do Łodzi. Po pewnym okresie skrajnej biedy Miciński zaczął obracać łódzkimi nieruchomościami, w r. 1883 otrzymał separację. Wanda Micińska kupiła wówczas majątek Wola Bychawska w Lubelskiem i przeniósł się tam

z dziećmi, ale posiadłość tę straciła ok. 1887 r. W trudnych warunkach Tadeusz Miciński uczęszczał do V gimnazjum w Warszawie, gdzie koledżował m. in. z braćmi Władysławem i Stanisławem Grabskimi. W r. 1892 przyjął posadę nauczyciela domowego u Dobrowolskich w Laskowiczach w guberni mińskiej, gdzie przebywał do lata 1893. W tym roku udał się na studia do Krakowa. Uczęszczał m. in. na seminarium Stanisława Tarnowskiego, lecz szybko znalazł się z nim w konflikcie. W 1895 r. przeniósł się do Lipska, gdzie słuchał wykładów znanego psychologa i filozofa Wilhelma Wundta. W 1896 r. udał się do Berlina — tam poznał Stanisława Przybyszewskiego i Zofię Daszyńską (później Daszyńska-Golińska). Zaproszony przez Wincentego Lutosławskiego, udał się do Hiszpanii: najpierw w marcu 1897, potem od jesieni 1897 do maja 1898,

# O muzeum Władysława Reymonta w Łodzi

Sprawa muzeów literackich w Polsce jest jednym z ważnych problemów naszego życia kulturalnego, problemem nie w pełni rozwiązanych. Wystarczy odwiedzić naszego sąsiada południowego i naszego sąsiada zachodniego, i przekonamy się, jak bardzo pozostajemy w tyle. Mają bowiem Czesi muzeum całej swojej literatury na Strachowic w Pradze, mają Niemcy nie tylko Weimar — miasto czterech poetów: Herdera, Wieland, Goethego i Schillera i jednego kompozytora — Liszt. Trzeba tylko z Weimaru zbiec do pobliskiej Jeny, by ujrzeć uroczą domek Schillera i „Gedächtnisstätte” Goethego (ten ostatni przebywał w Jenie krótko). Trzeba zawiązać do Dreżna, by zwiedzić „Gedächtnisstätte” naszego Krasińskiego, związanego z tym miastem przez szereg lat.

W Polsce założenie na wzór czeski muzeum całej literatury narodowej nie może być chyba brane w rachubę z różnych względów: bogactwo naszego piśmiennictwa, jego różnorodność, przede wszystkim zaś bardzo wyraźne powiązanie poszczególnych pisarzy z pewnymi regionami. Toté przekształcanie Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie w Muzeum Literackie im. Adama Mickiewicza nie w pełni zdaje egzamin. Robi się na tym odcinku coś pozytywnego, ale coś potwornego. Przyszłość natomiast należy do muzeów poświęconych poszczególnym pisarzom i umiejscowionych w okolicach, z których się wywodzi, lub z którymi byli związani, a więc do „Gedächtnisstätte” na wzór niemiecki. Osiągnięcia w tym zakresie mamy, zwłaszcza po ostatniej wojnie. Przed wojną niewiele było obiektów tego typu na ziemiach naszych: Kasprochowca Harenda między Poronimem i Zakopanem, Chata Zeromskiego w Nałęczowie i chyba koniec na tym. Dziś mamy Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu, Muzeum Krasińskiego w Opinogórze, pokój Krasińskiego (pamiętniki ze Złotego Potoku) w Muzeum Czeszochowskim, Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie i Muzeum Kornela Makuszyńskiego

go w Zakopanem. Przejdźmy zaś w ruch muzeów regionalnych literackich województwa: lubelskie i kieleckie. Na Ziemi Lubelskiej dzięki szczerą troskliwości Pawła Dąbka, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, przybrała kształt realny inicjatywa prof. Feliksa Araszkiewicza stworzenia Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie, a więc drugiego muzeum literackiego w miejscowości chlubiącej się słusznie wspomnieniem pobytu Prusa i Zeromskiego. Uruchomiono również Muzeum Krasińskiego w Romanowie (co prawda jest ono w pewnej mierze „muzycznym przyszłości”, gdy Romanów nie leży na szlaku turystycznym). W przygotowaniu jest Muzeum Józefa Czechowicza w Lublinie.

Zaś dr Aleksandra Dobrowolska, kustosz Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach poszczycić się może już trzecim swym „dzieckiem” muzealnym. W Oblegorku stworzenie Muzeum Sienkiewicza było naturalną konsekwencją przeobrażeń powojennych. Muzeum Kochanowskiego w Czarolesiu i Muzeum Zeromskiego w Kielcach (ostatnie w stadium organizacji) to dwie placówki również najnaturalniej i najsłuszniej stworzone w terenie działalności kustosa pełnego inicjatywy.

Rok Reymontowski obchodził się uroczystością przede wszystkim w Warszawie i w Łodzi. Łodzią są członkami Ogólnopolskiego Komitetu Obchodów: mgr Edward Kaźmierczak, przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Marian Piechal, prezes Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Zdzisław Skwarczyński, profesor UL. Odbędzie się w Łodzi sesja naukowa pod przewodnictwem Lucjana Motyki, ministra kultury i sztuki. Główny referat wygłosi Kazimierz Wyka, profesor UL, członek rzeczywisty PAN. Piękny był wieczór Reymontowski w sali Opery: wesele w Lipcach odegrali mieszkańcy Reymontowskich Lipiec w autentycznych strojach. Film „Pałace Ziemi Obiecanej” opracowany przez Leszka Skrzydła, stanowiąc

wiązanie do powieści o fabrycznej Łodzi. Ale to były tylko chwile, które minęły. Trwałym plonem obchodów Roku Reymontowskiego w Łodzi pozostanie z pewnością przygotowywany tom „Prac Polonistycznych” (opracowuje go prof. Skwarczyński). Będzie to wszakże lektura dla naukowców, nie zaś pomnik wystawiony pisarzowi dla szerszych mas. Powie ktoś, że taki pomnik już istnieje, jest nim tablica pamiątkowa na domu, w którym Reymont (bardzo skromnie) mieszkał, przy ul. Wschodniej. Otóż wolno mniemać, że to o wiele za mało. W Roku Reymontowskim należy uczcić twórcę „Ziemi Obiecanej” innym jeszcze pomnikiem: należy stworzyć Muzeum Władysława Reymonta w Łodzi. Wiadomo powszechnie, że autor powieści o fabrycznym mieście pracował przez kilka tygodni czy miesięcy w jednej z fabryk łódzkich jako robotnik, podobnie jak nieco wcześniej Bolesław Prus w Warszawie. Gdyby udało się archiwalnie ustalić, w której to fabryce (szczęśliwie chyba nieznaną dotychczas biografom pisarza), byłoby najważniejszą tam właśnie umieścić postuluje Muzeum. Jeśli to niemożliwe, należy wybrać lokal parokrajowy w jednym z „pałaców” przyfabrycznych. Kredyty na założenie placówki pochodzić winny albo od Miejskiej Rady Narodowej albo od przemysłu łódzkiego. Nie chodzi o zbyt wielkie sumy. Wystarczy zacząć a parvis principis. Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego zorganizowała bardzo skromną wystawę Reymontowską. Zastępuje ona na to, by — po porozumieniu z władzami biblioteki — stać się kamieniem węgielnym przyszłego muzeum. Ale muzeum niech będzie placówką rozwojową, tak jak nią jest Muzeum Prusa w Nałęczowie. Niech gromadzi pełną literaturę przedmiotu o pisarzu, niech kompletuje fotokopie wszystkich zachowanych autografów (rękopisy dzieł, korespondencja), niech stanie się warsztatem, od którego każdy badacz będzie musiał rozpocząć poszukiwania w pracy nad autorem „Chłopów”. Będzie to pomnik godny pisarza i godny Łodzi. O pomniku z kamienia na jednej z ulic miasta pomyśleć można także, choć zorganizowanie muzeum jest sprawą nierównie ważniejszą.

z drogi do ciężko chorej Marii Dobrn-Baranowskiej do Wydranki. Zorganizował jej pogrzeb, opuszczając zaś Mohylowszczyznę zginał wczesną wiosną 1918 w okolicach miasteczka Czirikowa, w którym znajduje się jego mogiła.

W rozumieniu twórczości Micińskiego przeszkadza jego mistycyzm i nasze uprzedzenia do mistycyzmu jako formy światopoglądu. Ale mistycyzm nie jest równoznaczny z religijnizmem. Jeden z religioznawców, Salomon Reinach stwierdził wprost, że Kościół więcej mistyków wyniszczył niż kanonizował Miciński był przeciwnikiem zinstytucjonalizowanego katolicyzmu, a zwłaszcza Rzymu — w tym kontynuował antypapieskie tyrały Słowackiego. (W „Walce o Chrystusa” napisał, że religia jest sprawą nie tylko księży). Sądził, że katolicyzm doktrynalny nie jest już światopoglądem uniwersalistycznym i usiłował stworzyć i propagować religię synkretyczną, która by łączyła w sobie elementy różnorodnych i sprzecznych ze sobą systemów religijnych, nie wyłączając kultów naturystycznych (orfizm, misteria dionizyjskie, Kult Isztar w Babilonie itd.). Uważał, że tego rodzaju synkretyczny kult wyzwoli indywidualność ludzka z wczoraj, narzuconych jej przez społeczeństwo, którego Miciński nie aprobował. Jego pogląd na ówczesną rzeczywistość w ogóle, a

rzeczywistość polską w szczególności był skrajnie pesymistyczny, a nawet katastroficzny. Miciński żywił przekonanie, że w społeczeństwie polskim brak sił odtworczych, a w planie filozoficznym łączyło się to z przesądzeniem, że zwycięstwo Dobra nad Złem zależy od przypadku, nie zaś od świadomej postawy ludzkiej lub od interwencji jakiegokolwiek siły reprezentującej ład i celowość. Nawet w bóście — zdaniem Micińskiego — Zło i Dobro egzystuje na tych samych zasadach — w tym streszczał się osławiony lucyferyzm poety. Lucyferyzm ten był niczym innym, tylko postacią gnostycyzmu i zapowiedzią współczesnego egzystencjalizmu. Właściwy był mu sąd, że każdy istniejący był jest skazony samym faktem swojej egzystencji, i że jedyną formą świadomego istnienia jest tragiczne w naszym subiektywnym odczuciu i obiektywnych skutkach przeżywanie, niejako przemierzanie i zgłębianie sprzecznych, skrajnych stanów psychicznych i myśli, lęków i ekstazy, między którymi — chociaż są antynomiczne — w gruncie rzeczy nie ma zasadniczej różnicy, i które są ze sobą nawet tożsame, na przykład Mrok i boskość; Miciński potrafił zawałać: „a tak nam dopomóż, święty Luciferze!” Ślad w twórczości poety problematyka faustyczna, rozdziew między pragnieniem a spełnieniem, pomiędzy ambicją a możliwością jej realizacji, znajdują skraj-

## ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

# Sila huraganu

Nie takie nad nami przeszły huragany. Dlatego „Huragan” Richarda Hughesa\* może wydawać się powieścią o wiele mniej ważną teraz, niż był w roku 1934, w którym został wydany po raz pierwszy. Ale tylko wtedy jeśli uprzeczysz się jego zawartości do sugerowanej przez tytuł metafory. Takie uprzedzenie jest wprawdzie niezmierznie efektowne. Ale uważaj! Bywa i tak że pewna wartość metaforyczna wiedzy, a zostaje to, z czego została zbudowana — właśnie warstwa powieściowych „konkretów” — w tym wypadku przede wszystkim psychologicznych. Tak, oczywiście — to nie tylko tytuł podsuwa metaforę (zwykliśmy ją uważać za naturalny cel wszelkiej twórczości), ale także narzucające się skojarzenie z pewnym nurtem literatury. Mam tu na myśli literaturę, której bohaterowie postawieni są w sytuacjach krańcowych, w środku tajfunu, katastrofy, dżemu lub wojny. Sytuacje te zawierają w sobie barometr o podziacie, wyznacznik przytępienia moralnego. Jeśli nawet autor zdaje się zaprzeczać istnieniu tego barometru, świadomość odbiorców wyretynowana już przez nawyk i myślenie, reaguje najczulszej na takie właśnie sytuacje — wartościowaniem.

Prosty na pozór szlak prowadzi od Hughesa do Conrada. Nie bez przyczyny jednak Hughes wspomina w swojej książce „Tajfun” i nie bez powodu przejmuje typowe motywy Conradowskie. Wskazuje to na zamierzone, świadome podjęcie wzorca i próbie usosunkowania się do niego — nie mamy bynajmniej do czynienia tylko z kontynuacją tradycji autora „Tajfunu”. Okręt Conrada jest anachroniczny i beznadziejny, nie umie przewidywać huraganu. Okręt Hughesa mądziej — jest o bardziej nowoczesny sprzęt. Inaczej także na tych dwóch okrętach ludzie przekraczają swoją smugę cień. Hughes dostrzega jest od Conrada o sceptycyzm i relatywizm, o brak romantyzmu i mgły spowijającej Conradowskie dramaty, o znajomość ograniczeń, których nie może pokonać świadomość człowieka. Z pewnością, jest to także dojrzałość czasu, w którym pisał Hughes swoją książkę — nie tylko jednak to — wszak literatura moralistyczna rozkwitała jeszcze później. Hughes, na pozór

pojmując wątki Conradowskie, w rzeczywistości z moralistami polemizuje. Jest pisarzem do ostateczności zwyciężym i w swojej zwyciężym brutalnym, kiedy rysteje postacie i odsłania motywy ich działania. Wszyscy bohaterowie mają swoje racje. Możemy je jednak odebrać jako racje moralne tylko wtedy, jeśli nazjemy na „Huragan” poprzez pryzmat prozy moralistycznej, poprzez powierzchowny klasyfikacyjny nawyk. W rzeczywistości racje te wyznaczone są przez sytuację bohaterów. Kapitan Edwardes, heroiczny dowódca statku w czasie niebezpieczeństwa, nie zważa się przed aresztowaniem pałacza, Chinczyka Ao Linga, winnego „wywrotowych” poglądów i podejrzanego z powodu żółtego koloru skóry. Edwardes jest kapitanem statku i to właśnie stanowią granicę zakreślającą skalę jego doznań i sferę jego działania. To jego „kapitaństwo” zresztą, celebrowane do absurdu, ośmieszają Hughes w groteskowej scenie, kiedy Edwardes nie chce wpuścić na swój pokład ratowników.

Dick Watchett, młody oficer, pobożny i zakochany w perwersyjnie cokolwiek niewinnym, pijanym dziewczęciu, na rozkaz kapitana rzuca się na Ao Linga, bo świadomość sytuacji podwładnego gorzej w nim nad sentymentami (Dick jest jeszcze młody), podszeptującymi mu podstępnie, że nie bliżej się bezbron-

Ao Ling to jedna z najbardziej wstrząsających w literaturze postaci. Hughes przenosi w bliski plan powieści bezimienny żółty tłum, walający się po Conradowskich czterech i z tego tłumy wyróżnia indywidualność pałacza, przenikliwie analizując tradycje kulturalne, w których wyrósł i które go kształtowały. Nie ma w Ao Linga nic bohaterowskiego. Bezgranicz na nędza popycha go do partii komunistycznej — w jej doktrynie (jak pisze Hughes) zobaczył swoją ostatnią nadzieję wyzwolenia się z więzów, które narzuciła mu tradycja. Nie zginił za ideę; zginił za swoje życie, które nie mogło być inne. Naprzeciw niego stanie Dick; niejasną świadomości winy nie obroni młodego oficera przed określonym przez sytuację działaniem. Drogi Dicka i Ao

Linga skrzyżowały się i to wszystko. (W zwięzłej, maksymalnie oszczędnej, obiektywizującej, pozbawionej emocji relacji losów Chinczyka, ujawnia się Hughes w całej pełni jako świetny mistrz prozy).

Dramat ludzki u Hughesa nie jest, jak u Conrada, dramatem wyboru i wynikające go stąd niepokoju moralnego, ale dramatem braku możliwości wyboru. Ludzie nie są wolni lecz ograniczeni przez kostium, jaki przybrali i od którego nie pragna się uwolnić. Kto chce pozostać kapitanem, musi postępować jak kapitan, kostium oficerski określa swoją zawartość — Dicka Watchetta, Robb stchórzył w czasie huraganu więc musiał swój kostium zrzucić. Przyjmując rolę w społeczeństwie, zakreśla się własne granice. Hughes jest determinista — nie nie mówi o możliwości przekraczania tych granic. Na statek spada huragan, i podobnie jak u Conrada, śmiertelnie niebezpieczeństwo powoduje przełom w ludzkiej psychice. Wiatr wymiata wiele doznań na zawsze. Ludzie przekraczają swoje smugi cienia. Ale zbieżność Hughesa z Conradem jest powierzchowna. Huragan zmienia ludzi bez ich wiedzy i woli, ale tylko do pewnych granic — nie może stargać tego, co więzi ich w granicach, zakreślonych przez rolę społeczną, narodowość i kolor skóry. Osia powieści Hughesa nie jest dramatem moralnym, rodzący się w chwilach walki o życie, ale dramatem wynikającym z niemożliwości przekroczenia norm, narzuconych przez przeszłość i rolę w ludzkim świecie. Tak więc „Huragan” napisany jest przeciwko moralistom, przeciwko Conradowi, jest polemiką z nim, podjęta na wspólnej płaszczyźnie statku, waczającego z wiatrem na morzu.

Na tle „Huraganu”, drapieżnego w swojej docieklowości, skutecznego w psychologii, powieści Conrada wydają się pięknymi baśniami dla dzieci, wierzących w świat, na którym walczy dobro ze złem, na którym istnieje możliwość wyboru między tymi wartościami.

**\*) Richard Hughes, Huragan. Opowieść morską, przeł. T. Borysiewicz, PIW, 1967**

hierarchii i jego ideologii, była tylko nieswiadomym narzędziem koterii dworskiej, która raz jeszcze sprzymierza się z Kościołem... bizantyjskim w całej jego ohydzie. Na tym tle, i na tle swoich marzeń, Bazyliissa upada jako postać wzniosła i czysta. Antyteza zbrodni i przestępstwa jest motywy przewodnim tragedii, a osiągnięta w spektaklu oczyszczenie, katharsis ludzkiej rosną nonkonformistycznych (wprawdzie uprzednio narzuconych w skrajnej postaci) jest sukcesem Teatru Polskiego w Poznaniu i Micińskiego.

Zasługę tego należy przypisać głównie Stanisławowi Hebanowskiemu, który pozbawił tragedię Micińskiego jej nadmiernej ornamentyki. Rezultatem jest wynikiem pewnego aktorskiego i scenicznego urobstwa Teatru Polskiego. Teatr ten nie dysponuje wielkim zespołem i ma szczerą scenę — silną rzeczą w tym nie mógł pójść śladem ekspresjonistycznych eksperymentów Leona Schillera, gdy występował on w 1925 r. w Warszawie „Kniazia Poliomkina”. Czynnikiem z tego Teatruw Polskiemu zarządził — niesłusznie. Wprawdzie nie wszystkie role były do przyjęcia (zwłaszcza Cymiches; czło-wiek „mały” niekoniecznie jest dosłownie krzydyły), lecz nawet przy pewnych podnieceńiach w rozprowadzeniu wstępu mistycznego i dramatu władzy, nawet jeśli odwarżająca główną postać Danuta Balicka nadużywała

Ustalenia dotyczące życia i twórczości Micińskiego pochodzą z przygotowanego przez mnie pod kierunkiem prof. dr Zdzisława Skwarczyńskiego, a inspirowanego przez Tadeusza Chrościelewskiego. Zarysu monograficznego poety. Osoby, które mogłyby dodać jeszcze wiadomości o rękopisach poety lub wspomnieć o nim, uprzejmie proszę o udzielenie ich na mój adres: Łódź, Tyburski 7a m. 6.

# Bóstwa ekranu o sobie

**MARCELLO MASTROIANNI: Wszystko jest nuda**

Dozedłem do wniosku, że Cinecittà i wszystkie inne wytwórnie są tylko fabrykami takimi samymi jak wszystkie inne. Albo to raczej menażeria i straszna rzecz jest znaleźć do niej. Może jest w filmie piękne właśnie to, że są tam wszystkie możliwe zwierzęta: rasowy koń i gad, lew i pchła, tygrys i karaluch. Ale żyć tam, gdzie się spotykają wszystkie karaluchy świata, to nie przyjemne. Okropnie też jest ciągle pojawianie się nowych idoli - to zupełna bzdura. Nie, ja się nie uważam za idola. Teraz, taki Clark Gable nie byłby już możliwy. Dzisiaj mógłby grać najwyższej klenery, iluzjonistę albo hipnotyzera. Zresztą idole ekranu są już przeżytkiem. Czy myślicie, że w epoce podboju kosmosu istnieją inni bohaterowie niż kosmonauci? Czy Tierszkowa nie jest bardziej interesująca niż John Wayne? Kiedyś popularny był Tarzan, ale dziś to już nie przedzie. A ja osobliście wolaliby być fizykiem albo architektem niż aktorem. Po prostu chciały mieć jakiś przyzwyczajony.

Nie mam energii, odwagi, siły, pozwalam sobą kierować innym. Kiedy byłem młody, fizycznie brzydkiem, się samym sobą. Marzyłem, żeby być atletą, dobrze zbudowanym, mieć muskuły, tak jak miał według faszyzmu ideału mężczyźni. A ja byłem przeciwnie - tak chuchro, nóżki miałem jak wróbel. Gdybym zachował ten wygląd, miałbym dziś w Rzymie powodzenie. Dziwnie, jak się teraz dziewczynom podobają skurczeni, przycięci młodzieńcy.

Reasumując: nie jestem zawodowym aktorem. Robię to tylko tak amatorsko, kto inny na moim miejscu wyjechałby do Ameryki i robił tam karierę, jak na przykład Sophia Loren. Tylko, że to wymaga jakiegoś działania, a ja nie lubię się męczyć - to także dla mnie nuda. Również ludzie mnie nudzą. Wolę być sam. Nie myślę sobie, że jest to zawodowa deformacja. Raczej egoizm, oziębłość, znudzenie.

Stanie przed kamerą jest też okropnie nudne. Nie mówię to dlatego, że nie jestem zadowolony ze swojej pozycji, ale naprawdę mnie to strasznie nudzi. Przygotowania do realizacji filmu mogą być czasami ciekawe, ale okres zdjęć jest tak męczący. Tylko reżyser mnie bawi. Mam niskie ciśnienie, jak usiądę od razu zasypiam - a pracować w atelier znaczy dwie godziny na dziesięć czekać. I dlatego mnie muszą zawsze budzić do zdjęć.

Niczego nie czytuję, nie słucham muzyki. Nie chodzę wcale do kina - to mnie nie interesuje. Ogarnia mnie przygnębia, gdy mam się poz-

nać z kimś nowym. Wolę być z tymi, których już dobrze znam. I to we mnie jest również egoizm. Nie chcę poznawać ludzi. Jest to męczące i zawsze stwarza jakieś problemy. Najlepiej mi jest, gdy jestem sam. Niechętnie poznaję nowe kraje - to to mnie nie przemawia.

Ale kobiety - te mnie interesują. Tylko, że bardziej jako gra niżeli coś konkretnego. Jest podniecające patrzeć w oczy i wyobrazić sobie, co z tego wyniknie. Ale po pierwszym spotkaniu, kiedy karty są już odkryte, staje się to nudne. Kiedy mnie jakaś dziewczyna zapyta, czy ją lubię, zawsze odpowiadam, że tak. Dlatego, że gdybym powiedział nie, rozpacze się. Jest mniej męczące kłamać i być dla ludzi miłym, niż mówić im prawdę.

**ALAIN DELON: Sceny miłosne - co za nuda!**

Udawam miłość przed kamerą, to nie zabawne. Rezultat może interesować miłośników tych rzeczy, ale dla aktora jest to scena jak każda inna. Jeżeli nie ma, oczywiście, jakichś zwyczajnych zainteresowań. Fakt, że trzymam dziewczynę w ramionach w obecności czterdziestu ludzi, nadaje sytuacji charakter zupełnie mechaniczny. Kiedy na to patrzy człowiek z krzesła w kinie, wygląda to oczywiście inaczej. Naturalnie, że lepiej obejmować ładną dziewczynę zamiast elektrycznego żelazka, ale i tak nie jest to rzeczą pasjonującą. Ci, którzy to przed kamerą grają z upodobaniem, nie są normalni. Mnie sceny miłosne nudzą.

Znam aktorów, którzy się całymi godzinami męczą nad scenariuszem. Ja raczej próbuję uchwycić postać zmienną, pomagam sobie tym, że obserwuję ludzi: To też

należy do zawodu aktora. Człowiek zauważy to i owo, na ulicy, w autobusie, w kawiarni. Gdziekolwiek jestem, zawsze obserwuję. Wiem, że aktorzy lubią się zamykać w wieży z kości słoniowej. Ja nie. To jest kwestia wychowania. Aktor nie różni się od innych ludzi i musi z nimi utrzymywać stały kontakt. Później przed kamerą wykorzystuję świadomie to co zapamiętałem. Ale tak samo wierzę w nieoczekiwane pomysły, w inspiracje chwili.

Tyle pięknych filmów nie znalazło uznania w oczach widzów. Ale wystarczy na przykład pokazać kawałek uda albo piersi i już „robi się kasę”. Mnie pornografia filmowa zniechęca. A mania pornografii w filmie roślinie jak lawina. „Powiększenie” Antonioni jest na przykład pięknym filmem, a jednak najczęściej mówi się o scenie, w której dwie nagie dziewczyny bawią się z fotografem na pomietym piersze. Pięćdziesiąt procent ludzi idzie na „Powiększenie” tylko z tego powodu. To jest rozpacliwe.

Kiedy odkryłem zawód filmowy, nie przypuszczałem, że się w nim zakocham. Odczuwam przy pracy szalone szczęście. Moim rzeczywistym życiem jest praca, moim rzeczywistym relaksem jest kręcenie filmów. W czasie urlopu jestem wprost niezdolny. Chciałbym jak najszybciej znów zabrać się do pracy. Pierwszy raz wziąłem urlop po siedmiu latach. I to ciągle latałem do Paryża i z powrotem do Włoch.

Właśnie ukończyłem nowe z Brigitte Bardot według opowiadania E. A. Poe „William Wilson”. Gram tam oficera austriackiej armii, którego druga „ja” pcha do samozgłady. Jest to fantastyczne przeżycie człowieka dręczonego rozdwojeniem jaźni. W chwili, kiedy zabijam mego sobowtóra, sam też umieram. Mój sobowtór, którego przebiłem nożem, powie mi: Nie powinieneś mnie zabijać. Umrześ. I ja wejdę na wieżę, rzucę się w dół i widzę zobaczy mnie leżące przebitego na podłodze sieni zamkowej. Takie sceny lubię kręcić.

Opr. T. L.

## Tele-obiektyw

### Skomplikowane sprawy adaptacji

Muszę Wam zdradzić, najmilszy Czytelnicy, źródło mojej nieustannej radości: NIE jestem recenzentem telewizyjnym. NIE przyjąłem na siebie żadnych serwitów związanych z biejącym programem TV. NIE jestem zobowiązany do tygodniowych ocen ani sprawozdań. Uczelniami przynajmniej, że ta rzecz by mnie NIE bawiła.

Co innego raz na tydzień pogawędzić sobie z Wami na tematy telewizyjne, sięgnąć po dowolnie wybrane pozycje programowe, by potraktować je jako furteczki wprowadzające nas na szersze sprawy. No i jeszcze jedna umowa: na progu tych furtek pozostawiamy - jak Japończycy obuwie - wszelkie rozważania i stronniczość z natury rzeczy subiektywną.

Ktoś powie, że to nie takie łatwe? Oczywiście! Ale, przypomnam, Tele-obiektyw pomyślał i o tym. Dla wolnej „gry namiętności” i dla pogłębienia sobie wydziedziczonego przez siebie „Poletko” - swoistą książkę zażądał. Wszelkie więc doradne pretensje rezerwujemy dla Poletki, a do tygodniowych rozmów telewizyjnych zasiadamy sine ira et studio.

Jeżeli chciałbym porozmawiać dziś o inscenizacji „Korsarza” według Josepha Conrada, nadanej przez studio Telewizyjnej Łódzkiej 15 grudnia, to nie skłania mnie do tego patriotyzm lokalny, ani przekonanie, że wszystkie poważniejsze pozycje emitowane z Łodzi na ogólnopolską antenę powinny być kwitowane przez Tele-obiektyw, ani że chodzi tu o wybitne wydarzenie artystyczne. Nic z tych rzeczy.

Po prostu widowisko to nasunęło mi trochę ogólniejszych uwag, którymi warto może podzielić się z czytelnikami. Dotyczyły one z grubsza biorąc dwóch kompleksów spraw. Pierwszy określiśmy kryptonimem „adaptacja”, a drugi kryptonimem „scenografia”.

Książka Conrada jest stosunkowo niewielka, można ją przeczytać w ciągu kilku godzin. Adaptacja telewizyjna musiała zgodnie z przyjętym standardem czasowym widowisk zageścić tekst do wymiaru około stu minut. Zadanie raczej wykonalne. Powieści posiada przy tym dostatecznie rozbudowane partie dialogowe - gotowy surowiec dla dramatycznej przeróbki.

Czego ponadto szukać należy w utworze prozatorskim, kwalifikując go do adaptacji telewizyjnej? Odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. Można zacząć od tego, że czytając pierwowzór literacki, należy doszukać się w nim elementów widowiskowych, które stanowią jakby podtekst wpisany między wierszami. Chodzi więc o skojarzenia obrazowe, jakie

budzi dany utwór napisany z myślą o dostarczeniu lektury czytelnikowi, nie o widowisku. Jeśli tych skojarzeń jest dużo, a obrazy w naszej wyobraźni układają się jak gdyby w montaż filmowy, pierwszy warunek jest spełniony.

Warunek drugi, to kameralność fabuły. Pamiętamy przecież, że chodzi o widowisko telewizyjne, więc specyficzne. Akcja powinna toczyć się w przestrzeniach raczej ograniczonych, niewielkich. Nie może być mowy o tak zwanych scenach masowych, ani o szerokiej epice. Dobrze natomiast, gdy tekst daje widzowi ekwiwalent w postaci drażenia w głębi bohaterów, możliwości analizy psychologicznej.

Ta moja recepta na wybór tekstu jest bardzo uproszczona, należałoby ją obwarować tuzinem zastrzeżeń, ale dla naszych rozważań myślę, że tych uwag wystarczy. Możemy przyjąć się „Korsarowi” i zastanowić się, czy spełnia naszkicowane wyżej warunki.

Skojarzeń obrazowych, oczywiście, nie brakuje. Jest ich może za wiele. Bo jak oddać w widowisku piękno alpejskiego wybrzeża między Tulonem i Fréjus, spływających ku lazurowemu morzu urwisk skalnych porośniętych bujną śródziemnomorską roślinnością, kamiennych plaż i cichych zatoczek? Odjęć powieści Conrada tego pleneru byłoby okrutną amputacją, z której utwór musiałby wyjść okaleczony.

Na szczęście ryzyko to wziął na siebie scenograf widowiska Jerzy Masłowski, który w dekoracji studyjnej zdołał oddać przynajmniej częściowo smak conradowskiego pleneru. Scenografie telewizyjnej Masłowskiego znamy od lat, wiemy, że w realistycznej konwencji jest on niedoścignłym majestrem. I tym razem nie zawiodł, choć zadanie jego przypomniało ekwilibrystykę na linie. Imitować w studio naturalny plener, to znaczy znaleźć się o krok od śmiechoty i od tandety. Jakże często kompromitują się przy takich okazjach scenografie np. w spektaklach „Kobry”.

Masłowski użył do budowy dekoracji obok normalnie stosowanych podestów obciążonych gipsem, malowanych i fakturowanych, także autentycznych elementów leśnych: drzewek, krzewów, kęp trawy. Łącznie z malowanym

plótnem horyzontu stworzyło to znakomite tło dla widowiska, umożliwiło jego realizację w warunkach studyjnych.

Rozpisałem się na ten temat, ale jestem przekonany, że to właśnie Masłowski pozwolił przekroczyć pierwszy decydujący próg. Żal, że realizatorzy „nie wytrzymał” i w końcowej fazie spektaklu uciekli się do wstawki filmowej. Ukazując dość banalny widok filmowy morza, nie zaufano w tak drobnej sprawie wyobraźni widza, a jednocześnie złamano jednorodność konwencji studyjnego widowiska. Szkoda!

A jak jest z drugim warunkiem, z kameralnością i walorami psychologicznymi „Korsarza”? Myślę, że w powieści tkwią te wartości, ale nie w warstwie dialogowej. Edward Szuster, adaptując Conrada, zawarzył zamiar dialogowy, przez co plastyka postaci uległa splaszczeniu.

Czytając Conrada, uczestniczymy w misternej grze, którą kilka osób stara się reżyserować. Usługę czynią też Real. Przez długi czas sądzi, że mu się to udaje. Za reżysera zdarzeń uważa się angielski kapitan Vincent, a nawet stara Katarzyna. Ich wysiłki pokierowania biegiem wypadków przechwytywa jednak Peyrol. Potrafi je wszystkie podporządkować własnej koncepcji, jednej, która w ostatecznym efekcie zostaje zrealizowana.

W działaniu Peyrola jest jakaś mistyka, czy trans, który jako siła motoryczna funkcjonuje bezbłędnie. Na styku wewnętrzного świata Peyrola i świata go otaczającego gubi się u Conrada doświadczenie anegdotalne, powstaje inny, metaforyczny wymiar. Tęgo wszystkiego nie można było, oczywiście, oddać dla widowiska obracając się wyłącznie w warstwie dialogowej „Korsarza”.

I jeszcze jedna mała uwaga. Olbrzymia większość akcji „Korsarza” związana z tajną misją poręcznika Réala toczy się w ciągu kilkudziesięciu godzin. Conrad zageścić wydarzenia jakby z myślą o widowni telewizyjnej. Czy potrzeba było rozbudować ten świetny koncentrat wstępującą sceną przybycia Peyrola do farmy Escampobar?

Mimo woli i wstępnych zapowiedzi wdałem się co nieco w ocenę adaptacji i widowiska. Chodziło mi jednak o ukazanie choćby fragmentu skomplikowanego mechanizmu, jakim jest przyswojenie telewizji utworu literackiego. To wszystko.

Władysław Głuchowski

## spektakle tygodnia

Teatr	spektakli	widzów	proc.
WIELKI			
„Pan Twardowski”	1	1276	100
„Dama pikowa”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
NOWY			
„Happy - end”	5	2500	85
„Trzy białe strzały”	7	4200	95
NOWY - Mała Sala			
„Skiz”	1	150	75
„Szklana menażeria”	6	120	60
POWSZECHNY			
„Tajemnica starej wierzby”	4	2640	100
„Mocne uderzenie”	1	500	80
„Radziwiłł Panie Kochanku”	2	1320	100
TZL			
„Los człowieka”	1	400	100
OPRETKA			
„Niedziela w Rzymie”	5	3750	69
FILHARMONIA			
„Koncert popularny”	2	1100	80

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Luis Bunuel najbardziej bezkompromisowy i konsekwentny twórca spośród wszystkich wielkich artystów sztuki ekranu, przedstawia nam film, wobec którego wypada skorygować wszystkie nasze konwencjonalne przyzwyczajenia. Stajemy wobec dzieła, które traktować trzeba miarą i wartościami narzuconymi przez samego twórcę. „ANIOŁ ZAGŁADY” jest filmem niezwykłym. Pozornie wymyka się, co sam Bunuel publicznie oświadczył, racjonalnym interpretacjom. To wrażenie uzyskuje Bunuel przedstawiając opowieść o wydarzeniach, które nie są rzeczywistością prawdziwą, nie są jej bezpośrednim odbiciem; film Bunuela tworzy rzeczywistość własną na wzór sennego wyobrażenia. „Anioł zagłady” jest konglomeratem fantazji, marzenia, halucynacji i kosmaru, lecz jak każdy irracjonalny sen zbudowany jest z elementów rzeczywistości, którym nadaje się jednak inny wymiar i inne wartości. Dzięki temu, po odrzuceniu wszystkich konwencji i ograniczeń świata rzeczywistego, zaczynamy dzięki Bunuelowi dostrzegać więcej aniżeli mogliśmy zobaczyć wówczas, gdyby naszym myśleniem i odczuwaniem kierował wyłącznie czysty racjonalizm. Poddając się klimatowi filmu, przyjmując irracjonalne reguły gry, z każdą następną chwilą zaczynamy dostrzegać to, iż tylko pozornie jesteśmy świadkami

reczywistości, której nie ma, w istocie zaś stajemy się współuczestnikami nieomal apokaliptycznego sądu nad światem, przed którym stanął anioł zagłady. Wielkie dzieła sztuki, a „Anioł zagłady” do nich należy, wymykają się zawsze jednoznacznej interpretacji, ich odczytanie jest wynikiem indywidualnego przeżycia. Można film Bunuela traktować wyłącznie jako fakt artystyczny dostarczający ogromną satysfakcję estetyczną, można w nim widzieć dzieło o jednoznacznej wymowie ideowej, powiedziałabym nawet określającej klasowo, można w nim również dostrzec wielką metaforę będącą świadectwem czasów współczesnych. Swe studium poświęcił Bunuel głów nie obrazowi zagłady jednej klasy społecznej - wielkiej burżuazji. Umieszczając jej przedstawicieli w jednym pokoju wspaniałego pałacu, patrzy na ich powolne unicestwienie z pozornie bezlitosną, zimną ciekawością. Obserwuje „przy drzwiach otwartych” ludzi, którym odejść pozwala, a którzy z tego pozwolenia nie korzystają. Odejść nie mogą, nie chcą, tak jak nie chcą wyjść poza granice swego środowiska, w nim wyłącznie czują się pewni i silni. I w tym momencie Bunuel wkłada ze swym demaskatorskim działaniem i powolną systematycznie zdiera mas

ki z tych, którzy schronieni za nimi czuli się tak bezpieczni. Wydaje się, że Bunuel wybrał to właśnie środowisko, by jego studium degradacji człowieczeństwa i upadku wszystkich wartości, które pozornie kierują ludźmi, stało się tym sugestyniej. Latwiej w tym świecie ratować piękno i być na nie wrażliwym, łatwiej układać poprawne stosunki między ludźmi; łatwiej żyć dobrze, gdy piękno od brzydoty dzieli bariera bogactwa. Gdy wali się piramida tak kunsztownie nadbudowywana przez pokolenia, musi to robić wrażenie ogromne. Lecz Bunuel obawiał się chyba, iż jego film zostanie zinterpretowany jednoznacznie, iż owa ruina wartości zostanie przypisana tylko tym, których w swym obrazie apokalipsy, słusznie zresztą, wyeksponował na plan pierwszy. Dlatego też od czasu do czasu wychodzi poza pałac, pokazuje tych, którzy są poza nim; nie znajdujemy tam jednak nic, co można by przeciwstawić światu zamkniętemu tam, w głębi wspaniałego ogrodu. Szkoda, że Bunuel nie zauważył nam do końca, że wizyta na ulicy są chyba zbędne, niepotrzebnie rozbijają klimat filmu, potrzebnie przecież nikt z nas nie traktowałby jako filmu czystej fantazji i sensacji. Wystarczyłby kończący film pobyt na dziękczynnym nabożeństwie

w kościele, z którego z kolei wyjść nie mogą księża odprawiający mszę i inni ludzie, którzy jej wysłuchali. Krąg się rozszerzył, objęci zostali nim ci w sutannach i ci z ulicy, którzy bezsilnie i z ciekawością przyglądali się palacowi. Trudno dopatrzeć się w bunuelowskiej wizji zagłady jakichś dróg wyjścia i ratunku. Ukazane gdzieś w dalekim świecie obrazy odbywającej się rewolucji czy bliżej nie komentowanych ruchów nie stanowią nawet w tym filmie pytania. Jakkolwiek byśmy się ustosunkowali do bunuelowskiej apokalipsy czasów mu współczesnych, jedno jest pewne: „Anioł zagłady” jest wyrazem najgłębszego humanizmu, nienawiści do wadów, które ludzkość sama sobie narzuca, jest wyrazem mądrości ludzkiej w ostrzegawczych.

Patrząc na film, na to pełne okrucieństwa studium zagłady, na szokujące surrealistyczne sceny, pamiętać musimy o stylu jego twórcy, nie może on nas mylić. Pamiętać musimy, że gładkość i łagodność są przeciwne naturze Luisa Bunuela, a jego skłonności do szokowania widza są podporządkowane jego widzeniu świata i pragnieniem przeciwstawienia się temu co złe i niszczące człowieka.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## DZIENNIK STANISŁAWA JOYCE'A

James Joyce miał wówczas 21 lat, gdyjechał śpiesząc się doDublina wezwany dołoża umierającej matki. Jego młodszy brat Stanisław miał wtedy lat 18. Byłoto w końcu 1903 roku. W tym to młodej wieści o Stanisławie Joyce rozpoznał pisanie pamiętni-



James Joyce

ka, a prowadził go jeszcze przez cały rok 1904.

Paryski dziennik „Le Figaro” omawia ten „Journal de Dublin” Stanisława Joyce'a, a przetłumaczony na język francuski przez Marie Tadié i wydany niedawno w Paryżu, ze wstępem i notami sporządzonymi przez George'a Harrisa Healey'a.

Poprzedni swój dziennik Stanisław spalił ku wielkiemu niezadowoleniu swego brata Jamesa, któremu pamiętnik bardzo się podobał, do biograficznej pt. „The portrait of the Artist as a young man”. James Joyce ukończył to swoje dzieło w dziesięć lat później, ale pracował nad nim już wtedy, gdy brat prowadził swój dziennik. Stanisław miał dla swego brata wiele podziwu, głównie dla jego talentu, ale surowo go sadył za jego słabość do kobiet i do whisky. Kiedy nawet pisał o upokorzeniach, jakie musiał znieść od swego starszego brata, nigdy nie poddawał w wątpliwość jego pisarskiego geniuszu. A przeżywał

nierzachwile przetrwał. Tak np. James rozmawiając z bratem, kazał mu się nagle odwracać, twierdził bowiem że jego twarz mu się po prostu znużyła. Stanisław bolał nad tym, cierpiał także z tej przyczyny, że brak mu talentu, ale wielokrotnie zdawał sobie sprawę z tego, że wywiera wpływ na brata. Powinno być zano-tował: „Nauczyłem się gwizdać i kłaść”. Pisał to zresztą chyba żartobliwie, bo na innym miejscu znajdujemy opinię Stanisława, że właśnie dzięki niemu Jim ma przed sobą jakby lustro. Wyobrażam sobie — pisał dalej Stanisław — że posługuje się mną tak jak rzeźnik swą ośleka, by nastrożyć go. I dalej: „To okropne męce starszego brata bardziej inteligentnego. Nikt mi nie przynajmniej oryginalności. Mam wprawdzie podobne poglądy co Jim, ale nie wszystkie. Zresztą niektóre z moich opinii Jim przejął”. W notach George'a Harrisa Healey'a uważa, że James zawiązywał swemu bratu znaczną część, pożyczając od niego nie tylko pieniądze, ale i pieniądze ubrania, idee i rysy wielu osób, które w swym pamiętniku charakteryzował. Stanisław, a których opis weszły do dzieła Jamesa „Ulysses”. Już z tego względu choćby „Dziennik” Stanisława jest dokumentem o niezwyklej wadze. A na jednej ze stron „Dziennika” test fragment datowany 18 czerwca 1904 roku. Otóż G. H. Healey zamieścił notkę, że fragment ten można traktować jako jedno z możliwych źródeł wewnętrznego monologu Jamesa. Ponadto „Dziennik” pozwala nam na wgląd w prywatne życie Jamesa Joyce'a w roku 1904 roku, od którego zaczyna się akcja „Ulysses”.

Dziennik jaki prowadził Stanisław, pozwala stwierdzić, że jego autor był wrażliwym i inteligentnym młodym człowiekiem i bynajmniej nie był pozbawiony pisarskiego talentu.

## ŚMIERĆ PISARKI

Zmarła poetka francuska Marie Noel (właściwe nazwisko. Rouget). Urodziła się w lutym 1883 roku w Auxerre, gdzie przebywała aż do swojej śmierci. Debiutowała późno, bo dopiero mając lat czterdzieści zbiorem wierszy pt. „Les Chantes et les airs”. Wydała następnie kilka tomów poezji, 3 powieści, napisała sztukę teatralną i powieść autobiograficzną. Otrzymała kilka nagród literackich m. in. Wielką Nagrodę Poezji Akademii Francuskiej.

## POECI O WJETAHME

Wydawcy francuscy (Editeurs Français Réunis) opublikowali ostatnio zbiór wierszy siedemdziesięciu pięciu poetów z dwudziestu ośmiu krajów o Wjetahmie i tragedii ludu wjetahmskiego.

## DRZEWORYTY DUFY'EGO DO KSIĄŻKI APOLLINAIRE'A

W serii „Les peintres du livre” przeznaczonej dla miłośników artystycznej wydawanych książek ukazało się w Paryżu



dzieło Apollinaire'a „Le Bestiaire” (Zwierzniok), bogato ilustrowane drzeworytami, jakie wykonał specjalnie dla tego wydawnictwa Raoul Dufy. Prace te charakteryzuje mistrzowskie operowanie czernią i białą, klarowność linii i siła wyrazu.

## BIBLIOTUS NA WSI FRANCUSKIEJ

Ostatnio telewizja francuska zamieściła w swym programie reportaż z pracy biblioteki na kółkach, autobusu-biblioteki odwiedzającego wiejskie regiony kraju. Przeprowadzono przy okazji wywiad z mieszkańcami wsi i czytelnikami książek. Cześć indagowanych oświadczyła, że w ogóle nie korzysta i nie chce korzystać z usług biblioteki. Inne wypowiedzi były nierzadko interesujące, czasem wręcz zaskakujące. Pewien starszy „wilk morski” oświadczył, że dzięki książkom chce jeszcze raz przeżyć to, co przeżywał w swym życiu spędzonym na morskich podróży. Nie mam fortuny, więc czytam — zakończył. Sympatyczna sprzedawczyni sklepowa powie-działa, że woli czytać książki niż słuchać muzyki gdyż przy muzyce trzeba zbyt dużo myśleć. Pewien rolnik określił swój nałóg czytania jako chorobę, od której się nie może uwolnić i dodał, że czytanie jest dla niego czymś odwrotnym, niż uciekanie od siebie samego. „Czytając wracam do siebie” — oświadczył.

Biblioteka na kółkach wypożycza przeciętnie około 1600 książek dziennie.

## W ŚLADY OJCA

Jan Kiepusa junior, syn Jana Kiepusy, również tenor, debiutował w mediolańskiej „La Scala”.

## KIM JEST NAPRAWDĘ SALVAT ETCHART?

Ostatnio, jak o tym informowaliśmy, nagrodę literacką Renaudota otrzymał Salvat Etchart z Marynki. Prasa francuska podawała, że jest on właścicielem ziemskim lub administratorem plantacji. Tymczasem jak się okazuje, Salvat Etchart jest chłopcem tajemnym. Przybył na Marynki, aby pracować tam w radio jako dziennikarz, ale został usunięty za wyrażanie spocecznie radykalnych poglądów. Ponieważ innej pracy nie mógł znaleźć, został chłopcem tajemnym. Nagrodzona książka jest trzecią powieścią Salvata Etcharta.



Jeanne z dziećmi

## NIEZNANY FOTOGRAF ZOLA

Pod takim tytułem tygodnik „Paris-Match” publikuje szereg zdjęć wykonanych przez sławnego pisarza, Emila Zola. Do tej pory ponad sześć tysięcy zdjęć „drzymało” w ciągu lat siedemdziesięciu w archiwach sukcesorów Zola. Obecnie zdjęcia będą publikowane przez jednego z wydawców.

Zola dwukrotnie ukazuje Paryż — czytamy w „Paris-Match” — raz piórem, drugi raz utrwalając go na kliszach. W roku 1900 Zola z niezwykłym zapałem i wprawą doświadczonych reporterów fotografuje Paryż w czasie światowej wystawy chwytając scenki uliczne, dokonuje zdjęć, jakie dziś nazywa się rodzajowymi, utrwała na kliszy wieżę Eiffla, budynek wystawowy itp.

Często też fotografuje swoją rodzinę. Tu należy się kilka słów wyjaśnienia. Zola ożenił się bardzo młodo z kwiaciarką Gabriella Alexandrine. Ale z latami małżonkowie coraz bardziej obojętnie

względem siebie, zwłaszcza że Gabriella nie obdarzyła go potomstwem. Zola zakłada wreszcie nową rodzinę. Ma wówczas lat 48, jest sławny i bogaty. Nawiazuje romans z 21-letnią Jeanne Rozerot, z zawodu szwaczka. Związek okazuje się trwały. Z Jeanne pisarz ma dwoje dzieci. Nie rozchodzi się jednak z Gabriella. I kiedy spędza z żoną lato w Medan, Jeanne z dziećmi mieszka niedaleko. Zola dokonuje całej masy zdjęć Jeanne i dzieci. Dysponuje pięcioma aparatami fotograficznymi i ma trzy laboratoria, gdzie wywołuje swoje klisze i papiery. Ze zdjęć Jeanne i dzieci powstaje cały pokazy album, który Zola ofiarowuje z piękną dedykacją matce swoich dzieci.

W owym czasie, lubiąc nowości, Zola ulega jeszcze jednej pasji — jeździ na rowerze wełocy podziw. Jak się to wtedy mówiło. Odbywa wraz z Jeanne i dziećmi długie spacerki i wycieczki tym rozpoznać w tym samym miejscu — ja mianowicie wierzylem w to, że on jest zły — co więcej, moi przyjaciele także w to wierzyli. Ta nasza silna wiara w jego go złym, aż do chwili kiedy nas opuścił. On nam po prostu uwierzył i był zły, bo nie znalazł w sobie siły by codziennie sta-wiać czoła naszemu niezłomnemu przekonaniu. Podał się — stał się naszym kreacją, pokornie grał przypisaną mu przez nas rolę. Otóż gdzie indziej uwierzono że jest dobry, i on podał się tej nowej wierze — był dobry! Ktoś pierwszy w nowym mieście dostrzegł, że przeprowadził przez ruczliwą jezdnię starych i ogłosił go człowiekiem dobrym i tak wszyscy no-wi ludzie w nowym mieście narzucili mu nieodpar-te przekonanie o jego do-broci.



Paryż. Plac Cléchy

Ale jak on był w istocie naprawdę, czy nie miał własnych silnych powodów i skłonności, czy był tylko bezwolna projekcją zewnętrznych mniemań, próżnym naczyniem, w którym gruchoca takie czy inne wrzucane kamki ludzkich ocen, i jaki on będzie kiedy przyjdą do jego nowego miasta — ja — jeden z tych którzy wierzą w jego złość i stana z nim oko w oko, a obok stają inni nowi ludzie wierzący w jego dobro? Był może wtedy właśnie nastąpił w nim dramatyczny starcie dwóch zespołów uczuciowych, być może wtedy właśnie ożywi się i stanie do nowego miasta, już nawet zakupił bilet, stał przed nim w nowym mieszkaniu i powiem mu patrzeć prosto w oczy: „Mój panie, jakże to z panem, jest pan dobry, a był pan zły, czy to się godzi ulegać tak zasadniczej przemianie bez uza-sadnienia — widzę, że pan na bita — zana wypiekana, że pana niegdyś głod-ne dzieci łwią, a ubodzy ruszają ławą do brna drzwi no chleb z masłem i odchodzą opowiadając o pana dobroci...” Nie wiem, co mi odpowie na podobne pytanie — na pewno mnie nie skrzywdzi! Jest przecież teraz człowiekiem dobrym... Daresnie nisuje sobie przypomniać tego, od którego pierwszy raz usłyszałem „Strzść się go, to bardzo zły człowiek”. Kto to był taki, może ktoś dopomógł mojej pamięci, a może to ja sam pierwszy wypowiedziałem do tego podobną opinię na za-sadzie drobnej obserwacji. Ktośkolwiek był tym opiniodawcą strzeżcie się go, to bardzo zły człowiek — doprawdy możecie mi wierzyć.

TERESA WOJCIECHOWSKA

## BEZ STRACHU

### ZŁY CZŁOWIEK

Był to zły człowiek — był własną żoną, skąpił stawy dzieciom — przepędził od drzwi ubogich. Złe czynił i złe mówił, a nawet złe pisał, w dodatku złe zarabiał i złe wydawał zarabiane pieniądze. Kiedyś odwiedził go w jego domu — siedział przy stole i czesłował mnie papierosami w bardzo złym gatunku. „Ja tu już nie mogę wytrzymać” — wolał — „tak jest mi źle”. Wyjechał z naszego miasta, obrzucając nas złym spojrzaniem i zgnajając złym słowem. Minęło kilka lat, gdzieś w przypadkowym miejscu zdarzyło mi się rozmawiać z przypadkową osobą na temat owego lego. „Mieszkałam z nim w sąsiedztwie — mówiła przypadkowa osoba — to dobry sąsiad, dobry ojciec, człowiek łitościwy dla ubogich, dobrze zarabiał i rozdawał gospodarstwu za robotnymi pieniędźmi. Proszę, proszę bardzo, aby pan w mojej obecności nie mówił o nim nic złego. Opowiedział mi wszystko, jak u was było, mu — jacy wy byliście dla niego — zł...” Zatem, czy ów człowiek był zły, czy też my byliśmy złymi — dowiedziałem, złym miastem, ale dlaczego miał z nas nie mówić, że jest mu tutaj źle, czyżby było to naszą immanentną właściwością, naszym umiłowaniem, czyżby nam było dobrze wtedy, kiedy nam jest źle? Usiłuję usiłowałem w losie tego człowieka odnaleźć moją osobista winę, czy uczyniłem mu coś złego, skrzywdziłem go obmowa byłem jego niewypalczalnym dzielnikiem, podgrzyzałem go w miejscu jego pracy, uwodziłem mu żonę, nieprawałem dzieci? Otóż z tych rzeczy, co więcej — nie spamiętałem — podobnym uczynkiem nikt z moich znajomych, którzy byli także jego znajomymi. Ale kiedy tak w czasie bezsensownych godzin przemyślałem, co uczyniłem mu złego — przypomniałem sobie o pewnym zym uczynku — ja mianowicie wierzylem w to, że on jest zły — co więcej, moi przyjaciele także w to wierzyli. Ta nasza silna wiara w jego go złym, aż do chwili kiedy nas opuścił. On nam po prostu uwierzył i był zły, bo nie znalazł w sobie siły by codziennie sta-wiać czoła naszemu niezłomnemu przekonaniu. Podał się — stał się naszym kreacją, pokornie grał przypisaną mu przez nas rolę. Otóż gdzie indziej uwierzono że jest dobry, i on podał się tej nowej wierze — był dobry! Ktoś pierwszy w nowym mieście dostrzegł, że przeprowadził przez ruczliwą jezdnię starych i ogłosił go człowiekiem dobrym i tak wszyscy nowi ludzie w nowym mieście narzucili mu nieodpar-te przekonanie o jego do-broci.

BERNARD SZTAJNERT

## 10 lat Salonu Fotograficznego ŁTF



Romuald Kowalik. — Dorosłe dzieci.

„Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne jest jedną z najlepszych amatorskich organizacji fotograficznych w Polsce. O ŁTF-ie pisaliśmy kilkakrotnie w „Fotografii”; można też było przeczytać o lodzianach w innych czasopiśmie. Ostatnio ŁTF zadziwiło świat fotograficzny nowymi osiągnięciami. Na jesień ub. r. Towarzystwo pokazało XIII doroczną wystawę prac swoich członków. Wystawa była dobra i ciekawa, ale najbardziej wszystkich uczestników wernisażu interesował nowy lokal Towarzystwa, przejęty po Biurze Wystaw Artystycznych, w którym odbyła się ekspozycja (...)”

Ten fragment recenzji z „Fotografii” zacytowałismy jedynie po to, by pokazać jak wysoka pozycja zajęło Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne wśród podobnych stowarzyszeń w kraju. Dziś, po roku, oglądamy już XIV doroczną wystawę, wystawę o tyle wspaniałą, że uświetniała 10-lecie istnienia Salonu Fotograficznego ŁTF. Czego nam nie należy mylić z samym ŁTF, który w przyszłym roku będzie obchodzić 20 rocznicę powstania.

Tamte dawne, odległe czasy (bo 10 lat, to już spory szmat czasu) prezes ŁTF — Zbyszko Rzeźniacki wspomina niemało z rozrzewaniem. Ie wówczas było entuzjazm, zapału, chęci działania. Dzięki nam zrobiono tak wiele, one zastępowały wszystko czego brakowało, a brakowało wielu rzeczy m. in. wszystkim odpowiedniego lokalu który umożliwiłby organizowanie wystaw. Dopiero na początku

1957 r. uzyskano własne, choć niezbyt odpowiednie pomieszczenie przy ul. Świruga 2. Ten mały lokalik, przejęty po jakimś punkcie usługowym, pozwolił na organizowanie pierwszych ekspozycji. Dziś ŁTF, już drugi rok, mieści się w doskonałych warunkach lokalowych przy Piotrkowskiej 102, co tak zaprawowało recenzenta „Fotografii”.

Lokal ten jest w jakimś stopniu odpowiednikiem osiągnięć artystycznych i organizacyjnych, jakimi mogą się dziś poszczycić członkowie ŁTF. Oto kilka liczb: w ciągu 10 lat otwarto 85 wystaw, które obejrzało 185 tysięcy osób. W liczbie 85 ekspozycji mieści się 14 dorocznych i amatorskich członków ŁTF, 31 wystaw członków Zw. Polskich Artystów Fotografików, 17 amatorskiej fotografii artystycznej z różnych ośrodków w kraju i 23 zagranicę. Wśród bez mała 200 członków ŁTF znajdują się amatorzy i zawodowcy, wielu z tych ostatnich rekrutuje się spośród amatorów, których pierwsze prace oceniano i lansowało właśnie jurv ŁTF. Jedną ze stałych, konsekwentnie prowadzonych akcji jest miesięczny konkurs fotograficzny, polecający na tym, że w każdy pierwszy wtorek miesiąca wszyscy entuzjaści fotografii mogą zaprezentować jurv swoje prace. Należące są w różniące, a ich autorzy otrzymują nagrody fundowane przez Foto-Optykę. Wiek-szość członków ŁTF rekrutuje się właśnie spośród laureatów wtorkowego konkursu.

W pozostałe wtorki odbywają się systematycznie odczyty

z dziedziny fotografii, wie-czory autorskie, spotkania z przedstawicielami stowarzyszeń fotograficznych innych miast, poza tym ŁTF organizuje plenery fotograficzne, różnego rodzaju konkursy fotograficzne, a szczególnie wie-le uwagi poświęca się Łodzi. Jej specyficznemu pięknu: stworzono archiwum zdjęć łódzkich. Piękne efekty daje prowadzona od pięciu lat, we współpracy z WKZZ, akcja patronatu nad klubami i kółkami fotograficznymi przy placówkach kulturalno-oświatowych: domach kultury, świetlicach itd. Fachowe poradnictwo w zakresie spraw technicznych pomoce w' ocenie artystycznej prac, kursy dla początkujących — to wszystko przynosi dobre rezultaty. W terenie odbyły się już cztery wystawy amatorskich prac fotograficznych a na ogólnopolskiej wystawie zorganizowanej w ramach Festiwalu Kulturalnego Związku Zawodowych Zakwalifikowano 23 prace 14 autorów łódzkich na ogólną liczbę 171 prac 121 autorów. Na tym konkursie łodziania zdobyli I i II nagrody.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# Tajemnica pustelnika

Z wyspy Thurstiday chciałem przenieść się do Nowej Gwinei. Jedyna droga prowadziła przez Arafurskie morze, które przepłynąć można było na żagłowiec jakiegokolwiek miejscowego poławiacza perel. Nieszczęśliwie im się ostatnio wiodło i mnóstwo małych schłodzonych stateczków stało na kotwicy w zatoce.

Wypłynęłam na miesiąc szypra, umierającego z nudów, i obgadałem z nim całą sprawę. On z kolei znalazł czterech tu byłców z Wysp Torresa, statek miał zaledwie dwanaście ton wyporności. Potem zakupiliśmy wszystkie konserwy, jakie tylko były w miejscowym sklepie. Kiedy do wypłynięcia w morze pozostał za ledwie dzień czy dwa, przyszedł do mnie właściciel kilku stateczków służących do połowu perel i spytał, czy zgodzę się dostarczyć na wyspę Treebucket kilku worków z mąką i z ryżem, a także pewną ilość gazet i tygodników, które należało doręczyć mieszkającemu tam pustelnikowi.

Nadstawilem uszu. Okazało się, że na tej samotnej wyspie już trzydzieści lat żyje człowiek, mieszka tam tylko on, i od czasu do czasu, gdy nadarzy się okazja, ludzie o miłym sercu posyłają mu prowiant i inne potrzebne przedmioty. Mówi o sobie, że jest Duńczykiem, ale w Cieśninie Torresa nikt o pustelniku nie mówi inaczej, niż Niemiec Harry. Historia jego poławiania się na wyspie jest niezwykła. Trzydzieści lat temu, gdy pracował na żagłowcu jako marynarz, statek jego rozbił się na tych zdradzieckich wodach. Załogę udało się uratować na dwóch szalupach, które po wielu perypetiach dotarły do samotnej wyspy Treebucket. Wyspa leży z dala od morskich szlaków i minęły trzy lata nim zauważono rozbiłków. Szesnastu marynarzy wylądowało na wyspie, ale do czasu nim wreszcie natknął się na nich szkuner zapędzony tutaj przez sztorm, przy życiu pozostało tylko pięciu. Przechlewał się pod ochroną brzegu sztorm, kapitan szkunera wziął na pokład czterech marynarzy i odwiózł do Sydney, a piąty — Niemiec Harry — kategorycznie odmówił porzucenia wyspy. Powie dzieł, że w ciągu ubiegłych trzech lat napatrzył się na ta-

kie okropności, że teraz odezuwa strach i obrzydzenie do ludzi i nie chce więcej wśród nich. Jego decyzja pozostania na tym zagubionym w bezkresnej przestrzeni oceanu skrawku lądu była ostateczna. I chociaż potem wielokrotnie miał okazję porzucić wyspę, mimo to na niej pozostał.

Dziwny człowiek, dziwna historia. W czasie naszych rejsów po tym pustym morzu dowiedziałem się o nim wielu szczegółów. Cieśnina Torresa jest usiana wyspami, i za każdym razem przystawaliśmy na noc na zawietrznej stronie to jednej, to znów drugiej wyspy. Niedawno w pobliżu tejże wyspy zostały odkryte nowe ławice perel, a łowcy perel, którzy od czasu do czasu tutaj zaglądają, przewożą Niemcowi Harry'emu wszystko czego potrzebuje, tak że teraz nie cierpi on na brak podstawowych artykułów. Do starczą mu gazety, mąkę, ryż, konserwy. Pustelnik ma jódkę, wielką i niezgrabną, którą używał niegdyś do łowienia ryb, ale już od kilku lat przestał wypływać w morze — sily już nie te, co kiedyś. Rafa koralowa, która otacza jego wyspę, obfituje w małże — perłoplawy, a on zbiera je i wymienia u pola wiaczy perel na tytoń. Czasem trafi się piękna perła, za którą dostaje sporą ilość pieniędzy. Chodzą słuchy, że gdzieś na wyspie ma zakopany skarb składający się ze wspaniałych okazów perel. W czasie wojny poławiacze nie pojawiali się u brzegów wyspy i w ciągu wielu lat pustelnik nie widział żywej duszy... Wydawało mu się nawet, że jakaś straszliwa epidemia wyniszczyła całą ludzkość, i że tylko on pozostał przy życiu. Potem spytano go, co myślał w tym czasie.

— Doszedłem do wniosku, że stało się coś strasznego — odrzekł.

Skończyły mu się zapalki, i bojąc się zostać bez ognia, Harry spał bardzo czujnie,

wciąż podkładając drzewa do ogniska. Prowiant także się wyczerpał i on żywił się kurami, które hodował, rybami i kokosowymi orzechami. Czasem udawało mu się złapać żółwia.

W ciągu czterech ostatnich miesięcy każdego roku, kiedy zaczynał się jesienny sezon zbierania perel, koło wyspy zawsze można było spotkać dwa—trzy kutry zajęte połowem. Dość często po meczym dniu poławiacze perel wychodzą na brzeg i spędzają razem z nim wieczór. Wtedy starają się go upić i następnie wyplują o zdarzenia, jakie miały miejsce na wyspie po rozbięciu stateczki. Jak to się stało, że na wyspę dopłynęło szesnastu ludzi, a po trzech latach przy życiu pozostało zaledwie pięciu? Ale Niemiec Harry

zobaczyliśmy na horyzoncie małe królestwo pustelnika. W tym czasie pogoda się popsula i byliśmy zmuszeni szukać schronienia na wyspie, gdzie spędziliśmy kilka dni. Treebucket — to niska wyspa, ledwie wychodząca nad poziom morza, ma około mil w obwodzie. Jest cała porośnięta kokosowymi palmami i koralowymi rafami otoczona, tak że podejść do niej można tylko z jednej strony. W ciasnym pierścieniu raf nie ma przejścia i dlatego musieliśmy zakotwiczyć w odległości prawie mil od brzegu. Załadowaliśmy prowiant do szalupy i zaczęliśmy wiosłować w stronę brzegu, pokonując silny odpływ. Nawet za barierą z rafy koralowej morze nie było spokojne i musieliśmy wciąż być czujni. Zobaczyłem małą chatkę otoczoną drzewami.

Rozkołysany chód zdrzążał dawnego marynarza. Błękitne oczy na ciemnej od opalenizny twarzy wydawały się zupełnie blade. Były otoczone siecią zmarszczek, jak gdyby spędził on wiele lat na wnatrywaniu się z napięciem w bezkresne morskie przestrzenie. Miał na sobie spodnie z płótna żaglowego i kurkę, połataną ale czystą i schludną. Chata, do której nas potem zaprosił była kryta blachą i składała się tylko z jednego pokoju. Łóżko, swojej roboty, toporne krzesła, stół i inne przedmioty gospodarcze — to wszystko co w niej było. Pod drzewem, które rosnęło koło domu — stół i ławka. Z drugiej strony domu miejsce ogrodzone dla kur.

Nie wydaje mi się, by Niemiec Harry ucieszył się z

wszystko, co było poza jego światem. Jedyna rzecz, którą go obchodziła, to los jego wyspy. Nazywał ją swoim zdrowiskiem i bardzo się martwił, że zarosła palm kokosowych mogą zwrócić na siebie uwagę jakiegoś przedsiębiorczego handlarza. Do mnie też odniósł się nieufnie i spróbował się dowiedzieć, co ja robię w tych stronach. Mówił, z trudem wyszukując słowa, zwracając się raczej do siebie niż do nas, i trochę przykro było słuchać jak on mruczy coś pod nosem, jakby nas zupełnie nie było. Ale i on się roztkliwił, gdy się dowiedział o śmierci swojego znajomego i rówieśnika.

— Stary Charlie umarł, jaka szkoda! Stary Charlie umarł — powtarzał bez końca.

— Spytałem Niemca Harry'ego, czy czyta coś.

— Bardzo rzadko — odparł obojętnie.

Widocznie interesowało go tylko pożywienie, psy i kury. Wydawało się, że długie obcowanie z przyrodą powinno było mu odkryć wiele tajemnic. A jednak tak się nie stało. Niemiec Harry był dziekusem, ograniczonym, kłóliwym ciemniakiem. Patrząc na jego pomarszczoną, nieprzyjemną twarz, odczuwałem wielkie pragnienie, aby poznać tajemnice strasznych przeżyć tych trzech lat, które zmusiły Niemca Harry'ego do wybrania dobrowolnego dożywocia na bezludnej wyspie. W jego wyblakłych oczach chciałem dostrzec te tajemnice, która on zabierze ze sobą do grobu. I ja zobaczyłem ten moment.

Kiedyś na wyspie wysiadł poławiacz perel, ale na niego już nie będzie czekał Niemiec Harry, milczący i podejrzliwy. Przybysz podejrzliwie do chaty i tam na łóżku zobaczy nierozpoznawalne zwłoki tego, który niegdyś był człowiekiem. Bardzo możliwe, że natychmiast zaczął szukać skarbu, który nie dawał spokoju wielu poszukiwaczom przygód. Ale ja jakos nie wierzę w to, by poszukiwania zakończyły się powodzeniem. Przed śmiercią Niemiec Harry zapytał się o to, by nikt nie znalazł skarbu i perły będą gnily w ukryciu. Poławiacz wrócił na szkuner i wyspa znowu stanie się bezludna...

Tłumaczył:  
ROMAN GORZELSKI



milczy jak grób. Czy pijany, czy trzeźwy, nie chce nic na ten temat mówić, a jeżeli urierają się przy tym, złości się i odchodzi.

Minęły cztery, czy pięć dni na morzu — nie pamiętam dokładnie — kiedy wreszcie

Kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, wyszedł z niej mężczyzna i wolno szedł na nasze spotkanie. Głośno pozdrowiliśmy go, ale on nie odpowiedział. Niemiec Harry miał już ponad siedemdziesiąt lat, był zupełnie tysz, z długą ostrą twarzą i siwą brodą.

naszego przybycia. Przyjął upominki, jak coś, co mu się należy, nie powiedziawszy ani słowa podziękowania, trochę porządził nie dostrzegłszy czegoś, co mu było potrzebne. Starzec był milczący i ponury. Nowości go nie interesowały, tak jak



## Lewym okiem

### ABSENCJA I HEREZJA

Nie ma się tu co rozwodzić ani wyszukiwać przykładów, bo każdy z nas wie doskonale, że w każdej instytucji jest mała grupa ludzi, harujących z całym poświęceniem, i jest o wiele bardziej widoczna większość, która robi co może, żeby nic nie robić. Ja wiem, wszyscy Czytelnicy „Odgłosów” należą do tej dzielnej mniejszości, i wiem też, że to nieprawda.

Przeistniały się czarować, panowie. Właśnie tak: panowie. Nauczylimy się pięknie manifestować i obnosić swoje przepracowanie. Tak pięknie

i tak głośno i tak bez przerwy, że ci co naprawdę mieliby prawo do zmechanizowania już nawet wstydzą się o nim mówić. Po co? Jeszcze jeden głos w milionowym chórze? Milczą, pracują, gorzknieją — i nie potrafią inaczej. A to właśnie im zawdzięczamy rosnące mimo wszystko wskaźniki w przeróżnych statystykach.

Ratujemy pracujących przed cwanymi nierobami! Nie pozwólmy na najzwyklejszy, brutalny wypych porządnych, sumiennych ludzi przez bujnie się mnożące plemie pasyżytów!

Projekt ustawy o zwalczaniu nieuzasadnionej absencji w pracy zajmuje się szeroko absencją, spowodowaną nadużyciem alkoholu. Słusznie, to ważna przyczyna. Ważna i nie wymagająca dyskusji. Ale co sądzić o zjawisku, zanotowanym w przemysle elektromaszynowym, gdzie w roku 1966 SZESZCZDZIESIAT PROCENT nie usprawiedliwionych nieobecnych stanowiła młodzież w wieku 18—25 lat? W tym wieku jeszcze nie alkohol decyduje o rozprężeniu dyscypliny wewnętrznej; a co? Skąd się to bierze? Z nadużywania zwolnień lekarskich też nie, bo po pierwsze takie nieobecności zanotowano by jako usprawiedliwione, a po drugie młodzi ludzie jednak nie bardzo lubią chodzić do lekarzy. Musi być jeszcze inna przyczyna. Jeśli mi ktoś jeszcze raz zacznie o trudnym dzieciństwie i o braku zrozumienia dla biednych nastolatków, chwytam za przycisk.

W ogóle odkał socjologia i psychologia przestały być traktowane jak wykłete odczynniki uroków, dostrzegliśmy nagle zdumiewające rzeczy.

Oto socjolog radziecki, Pieriwiedienecow, stwierdził metodami naukowymi, że w zakładach wysoce zmechanizowanych, przy tamże produkcyjnej, najwydajniej pracują robotnicy najmniej wykwalifikowani! Wykształcenie przeszkadza w wykonywaniu czynności mechanicznych, powtarzających się nieodmiennie tysiące razy. A przecież ekonomika produkcji każe ją mechanizować, rozkładać na czynności najprostsze, sprowadzić do elementarnych gestów człowieka, stojącego przy jednej z maszyn w ich coraz dłuższym łańcuchu. Jakież więc wyjście? Podnieść wydajność robotników przez obniżanie ich kwalifikacji, a kształcić tylko kadre inżynierskie, kierownicze? To nieludzkie. Pozostaje tylko — zdaniem Pieriwiedienecowa — odwrotna możliwość: zmieniać ludziom stanowiska, urozmaicać im pracę, czyli po prostu: nie przesadzać ze specjalizacją! Rozszerzać umiejętności, kojarzyć pracę ręczną ze zmechanizowaną, aby przez to ożywić i powrotem najlepsze co jest w człowieku: jego zainteresowanie — nie materialne, tylko psychiczne — tym, co robi, jego pragnienie wykazania się, ujrzenia dzieła własnych rąk. Czyli — jeszcze raz — po prostu: nie przesadzać z wyręczaniem człowieka przez automaty...

Czyste herezje! Ale wierzę najmocniej, że ta właśnie będzie, kiedy człowiek, opanowawszy maksymalnie technikę, przestanie leżeć plackiem przed molochem ekonomiki. Kiedy świat dojrzeje do prawdziwego humanizmu.

CWIEK